Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

# Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 5 lipca 1936 r. Nr. 27.



## Odpoczynek

W niedzielnem słonku, za miastem zdala
Tak dobrze spocząć sobie we dwoje,
W niedzielnem słonku, tak dobrze njeraz
Zgubić gdzieś troski i niepokoje.

* * *

Godziny długie, gdzieś w cieniu brzozy
Przepędzić słodko i myśleć tylko,
Że w takiej ciszy szczęście jest wieczne,
A tamto — Smutek — to tylko chwilka.

* * *

Zapomnieć o tem, że mury miasta
Są takie zimne i dziwnie szare,
Że tak w nich mało promyków słońca,
Tak mało ciszy, a dużo gwaru.

* * *

Zapomnieć!... skargą, niech szumią brzozy,
Niech płaczą smętne wśród pól wierzbiny,
Tylko tej ciszy, niech cienie prozy
Nie zgaszą szorstko i nie zabiją.

* * *

Niechaj w tym słonku, dusz ludzkich dwoje,
Prześni najcudniej sen niepojęty,
Złoty sen szczęścia i w szare mury
Zabierze z sobą w głębiach serc — Święto.

Marja Zemml[illegible]wna.

MARJAN BRONISŁAWSKI

26)

# Szumowiny

*Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich*

— Zaczekaj tylko — rzekł Gerber, wstrzymując mającego wychodzić Hardena. — Zanim pójdziesz, musisz mi dokładnie powiedzieć, jak się cały interes urządzi. Potrzebnych ludzi z łatwością znajdę w przeciągu jednego dnia, tylko muszę im wyjaśnić co i jak mają robić. Znam kilkunastu takich, co nie cofną się przed niczem, jeżeli będą widzieć znaczną korzyść dla siebie.

— Doskonale — odrzekł Harden, siadając znów przy stole. — Rzecz jest zupełnie prosta i łatwa. Ja postaram się o źródła w Kanadzie i czy to osobiście, czy przez kogoś zaufanego zakupię odpowiednią ilość towaru i zapłacę. Moje zadaniem będzie polegać na pojechaniu na miejsce, zabraniu kupionego towaru, przewiezieniu przez granicę i dostawieniu na miejsce, które poprzednio ci wskażę. To wszystko.

— A czy masz już zapewniony zbyt na towar? Bo szukać po przywiezieniu, niebezpiecznie i trudno.

— Niech cię o to głowa nie boli, towar będzie sprzedany zawsze tego samego dnia, kiedy będzie przywieziony do New Yorku. To już moja głowa. A ludzie i ty z nimi dostaniecie waszą część natychmiast po wyładowaniu. Możesz być zupełnie spokojny co do tego.

— Zostaw mi więc trochę pieniędzy na koszty zwerbowania ludzi, a najwyżej za trzy dni możemy zaczynać.

Harden wyjął z portfelu piętnaście dwudziestodolarowych banknotów i wręczył je Gerberowi.

— Masz tu trzy setki — rzekł. — to ci powinno wystarczyć. A nie zapomnij zatelefonować do mnie jak tylko będziesz miał wybranych ludzi. Jeszcze jedno... Oprócz ciebie, nikt nie ma wiedzieć, że ja należę do interesu. Pieniądze będą dostawać od ciebie i to powinno im wystarczyć, rozumiesz?

— Niech będzie. Ale tak cię zobaczą przy wyładowywaniu, bo przecież będziesz przy odbiorze towaru.

— Właśnie, że nie. Postaram się urządzić wszystko w ten sposób, żeby mnie nikt z nich nie znał. Lepiej i bezpieczniej. A i ty nie możesz przyjeżdżać do mnie. Umówimy się zawsze, gdzie będziemy się stale spotykać. Tymczasem jadę do Kanady i nawiążę stosunki z tamtejszymi hurtownikami. Spodziewam się, że w przeciągu tygodnia pojedziesz po pierwszy transport.

Po wyjściu Hardena Gerber uśmiechnął się zjadliwie i splunął z pogardą w kąt pokoju.

— Przyszedłeś złodzieju! — mruknął pod nosem. — Myślisz, że znów nabijesz mnie w butelkę. Poczekaj tylko, tym razem, to nie ty Gerbera, ale Gerber ciebie naciągnie. Widzisz go: chciałby, żeby inni wyciągali dla niego kasztany z ognia... Już ja cię urządzę jak należy!



Jedną z największych przyjemności dziecięcych to jazda na wrotkach. Lubią ją szczególnie dzieci w Anglji skąd pochodzi wyżej zareprodukowane zdjęcie. Widzimy na niem, jak mały dżentelmen zakłada wrotki swej towarzyszce codziennych zabaw w wyścigi.

Gerber znał się doskonale na przemytnictwie wódki z Kanady, bo sam już kilka razy wybierał się z kilkoma spólnikami i pomyślnie przewoził małe transporty. Na większe brakowało mu gotówki. Teraz nadarzała mu się sposobność wypróbowania swych zdolności na wielką skalę i nie wątpił, że sposobność tę potrafi właśnie wykorzystać.

Zaraz też zatelefonował do kilku znajomych knajp i wezwał sześciu z nich do siebie „do omówienia interesu."

Harden tymczasem odwiedził kilkunastu szynkarzy i potajemnych sprzedawców wódki i porobił z nimi umowy co do dostarczenia większej ilości żytniówki z Kanady po cenie znacznie niższej od tej, jaką płacili dotychczas. Zabrało mi to kilka godzin czasu i dopiero późną nocą wrócił do domu, gdzie oczekującej na niego Grecie powiedział, że posłuchał jej rady i ma już zorganizowaną szajkę przemytników.

Na drugi dzień kupił dwa używane wielkie samochody i oddawszy je do gruntownego remontu, nie zwlekając pojechał do Kanady i tam zakupił odrazu dziesięć tysięcy butelek wódki po dolarze, z poleceniem wydania towaru człowiekowi, który za jakiś czas przyjedzie i przedstawi pokwitowanie na zapłaconą sumę. Człowiekiem tym miał być Gerber.

Wracając do domu, zacierał ręce z uciechy, że Greta poddała mu myśl prowadzenia wielkiego i tak korzystnego interesu, który może przynosić tysiące dolarów tygodniowego zysku. W myśli obliczał spodziewane zyski i czuł się miljonerem w niedalekiej przyszłości.

Jakoż wszystko szło jak z płatka. Gerber zgromadził swych sześciu zabijaków, którzy chętnie oddali się pod jego rozkazy i zawiadomił Hardena że ludzi ma już dobranych i czeka tylko na chwilę wyruszenia do Kanady.

— Aż się dusza raduje spojrzeć na nich — mówił przez telefon do właściciela „Rajskiego Kącika". — Jeden w drugiego chłopy jak dęby i aż się rwą do takiej roboty. Dobrana paczka... Każdy siedział przynajmniej po trzy razy w więzieniu i za pieniądze gotówby zabić rodzonego brata. Kiedyż wyruszamy?

— A czy to aby pewni ludzie? — zapytał Harden. — Bo towaru sporo kupiłem, a teraz to rzecz łakoma...

— Niema obawy — brzmiała odpowiedź Gerbera. — Całego ładunku nie wypiją, trudno zabronić im po butelce na osobę...

— Ale nie o to chodzi — przerwał mu Harden. — Niech wypiją i po trzy kwarty, tyle tylko, żeby się nie popili. Miałem na myśli, czy poprostu nie rozkradną połowy transportu, bo taka banda...

— Nie, nie — odpowiedział Gerber. — Możesz w zupełności na nich polegać. Jak na mnie — dodał po chwili.

Gdyby Harden widział w tej chwili twarz Gerbera, byłby cofnął się z pewnością od wszystkiego. Ale rozmawiali przez telefon, a głos Gerbera brzmiał naturalnie i jak zdawało się Hardenowi szczerze.

Upłynęło kilka dni. Do kanadyjskiego hurtownika, który sprzedał Hardenowi dziesięć tysięcy butelek wódki w skrzynkach po dwadzieścia kwart, zgłosił się Gerber i przedstawił kwit i rachunek.

Hurtownik przyjrzał mu się bacznie.

— Aha — rzekł — więc to pan ma przewieźć ten transport przez granicę? A czy pan wie, jak to się robi?

— Jakoś dam sobie radę — odparł Gerber. — Znam wszystkie drogi i wiem, która z nich nie jest ciągle strzeżona. Spodziewam się, że za kilka dni dostawię towar w całości do New Yorku. Ludzi mam pewnych.

— To już pańska rzecz — powiedział hurtownik. — Może pan zacząć ładować.

Żwawo zabrali się towarzysze Gerbera do ładowania skrzynek z wódką. Przy pomocy kilku miejscowych robotników naładowali obydwa samochody i nie czekając, puścili się w drogę ku granicy Stanów Zjednoczonych. — Wiadomą sobie drogą Gerber szczęśliwie przejechał granicę nie molestowany przez nikogo i znalazłszy się na terytorjum Stanów, odetchnął pełną piersią.

Największe niebezpieczeństwo minęło. Im dalej granicy, tem słabsza była czynność władz federalnych i tem mniejsza możność wpadnięcia w ręce „suchych" strażników, patrolujących nadgraniczne drogi.

Jechali przeważnie nocami, w dzień zatrzymując się w ustronnych miejscach, gdzie drzewa lub krzaki ukrywały naładowane samochody przed niepowołanemi oczami szeryfów lub agentów prohibicyjnych.

Bez przeszkód dojechali do jednego z przedmieść New Yorku, gdzie Gerber wypłacił pięciu ludziom po dwieście dolarów, zatrzymując tylko jednego na drugim samochodzie. Pierwszym kierował osobiście.

Pozostawionym na stanowisku kierowcy człowiekiem był olbrzymiego wzrostu Ben Poter, znany w świecie przestępców pod przezwiskiem „Kid", który po przepiciu otrzymanych od Gerbera tysiąca dolarów udział w napadzie w zamordowaniu Wintersa, wisiał wiecznie w szynku spólnika i na pierwsze wezwanie stawił się do pomocy w przewiezieniu transportu. Wiecznie pijany przy wjeździe do New Yorku wytrzeźwiał zupełnie, pilnowany przez Gerbera, który obiecał mu większe wynagrodzenie i tuzin butelet po ukończeniu „roboty."

Jakkolwiek Gerber miał w kieszeni notatkę, wskazującą mu gdzie ma zajechać z towarem, nie myślał się do niej stosować. Zamiast jechać pod wskazany adres, skierował się w przeciwną stronę i na dalekiem przedmieściu zajechał do podrzędnej zajezdni samochodowej, prowadzonej przez jednego z dawnych jego znajomych. Właściciel garażu był już widocznie uprzedzony o przyjeździe dwóch samochodów, bo pomimo późnej nocy nie spał i wyczekiwał przybycia Gerbera.

Skoro tylko obydwa samochody znalazły się w zajezdni, bramę zamknięto i między właścicielem a Gerberem odbyła się krótka narada, po której Gerber wsiadł w małą, dwuosobową maszynę i spiesznie odjechał w kierunku miasta. Poterowi zaś dano butelkę wódki i właściciel zajezdni wskazał mu mały pokoik w tyle zajezdni, gdzie znajdowało się łóżko z pościelą. „Kid" w kilku minutach wypróżnił kwartową butelkę i zwaliwszy się, jak kłoda na łóżko, zasnął kamiennym snem pijaka.

Gerber powrócił z miasta dopiero w godzinach przedpołudniowych. Pomimo zmęczenia i niewyspania nie poszedł wypocząć, tylko z pomocą właściciela zajezdni naładował mały ciężarowy samochód kilkudziesięcioma skrzyniami wódki i znów pojechał do miasta. Po dwóch godzinach wrócił bez skrzynek i ponownie odbyło się ładowanie. — Trwało to cały dzień i następną noc. Na drugi dzień w południe w zajezdni stały próżne już samochody ciężarowe. Skrzynki z wódką znalazły się w schowankach licznych salonów w różnych częściach miasta, a kieszenie Gerbera wydymały się paczkami banknotów.

Pierwsza wyprawa spółki przemytniczej Harden & Gerber skończyła się w ten sposób, że młodszy spólnik i wykonawca poleceń starszego bez najmniejszych skrupułów sprzedał na swoją rękę przywiezioną wódkę i śmiał się, wyobrażając sobie bezsilną wściekłość Hardena.

Gdy po sprzedaniu wszystkich skrzynek z wódką Gerber znalazł się w swoim szynku, nie czekał długo na znak życia od Hardena. Zaledwie rozgościł się u siebie, gdy zadźwięczał dzwonek telefonu.



Do Genewy przybył b. cesarz Abisynji Haile Selassie z córką i dwoma synami. Na ilustracji widzimy negusa na dworcu kolejowym w Londynie, za nim idzie córka jego księżniczka Zahai w towarzystwie braci ks. Makonnen i ks. Asfu.

— Hallo! — rzucił Gerber w słuchawkę. — Kto mówi?

— To ty, Gerber? — odezwał się w aparacie głos Hardena.

— Tak, Mike, to ja. Właśnie powróciłem z podróży...

— Co ty wyrabiasz? Miałeś zawieźć towar tam, gdzie ci podałem...

— Towar? To ty nie wiesz co się stało?

— Co takiego? — spytał głosem pełnym niepokoju szef spółki.

— To w gazetach nic nie było? — drwił Gerber.

— Gadaj do djabła, co się stało?! — ryknął Harden w aparat.

— Nic strasznego, — ciągnął powoli Gerber, lubując się myślą o wściekłości Hardena. — Tylko tyle, że musieliśmy zostawić obydwie maszyny razem z towarem i ratować się ucieczką.

— Łżesz!

— Zaraz po przejechaniu granicy. Myślałem, że już wiesz o tem. Byłbym właśnie telefonował do ciebie, a ty tymczasem zadzwoniłeś, ale teraz pozwól mi wypocząć, bo jestem strasznie zmęczony. Do widzenia, Mike. Może przyjedziesz do mnie na chwilę, to ci wszystko opowiem. Tymczasem kładę się do łóżka.

Powiesił słuchawkę i roześmiał się na całe gardło.

— Niezły interes — mówił sam do siebie. W każdym razie lepszy od tamtego z temi kamieniami... Niech żyje prohibicja i Harden!

— — — — — —

Najspokojniej położył się do łóżka i smacznie usnął, gdy nagle poczuł, że ktoś gwałtownie szarpie go za ramię.

— Czego u djabla? — mruknął otwierając jedno oko. — A, to ty, Mike? Siadaj. Spodziewałem się, że przyjdziesz.

Harden uścisnął go silnie za ramię i potrząsnął z wściekłością.

— Gdzie jest transport? — syknął przez zęby.

— Jakto, gdzie jest? Przecież mówiłem ci, że musiałem zostawić samochody i wódkę i uciekać. Dobrze jeszcze, że udało się nam zemknąć...

— Nieprawda. Przywiozłeś wszystko do miasta i masz gdzieś w ukryciu.

— Tak sądzisz? Hm... To bardzo nieładnie, że mi nie wierzysz. A jednak jest tak, jak mówię.

— Łżesz, łżesz jak pies! Nie myśl, że uda ci się taka sztuka...

— Mike, muszę ci powiedzieć, żeś głupi. Rozumiesz?

— Tylko nie doprowadzaj mnie do ostateczności. Chcesz mnie oszukać, ale to ci się nie uda.

— Więc mi nie wierzysz? Szkoda — drwił bezlitośnie Gerber. A ja myślałem, że masz choć trochę zaufania do mnie. Szkoda, bardzo żałuję...

— Czy to twoje ostatnie słowo? — spytał Harden, gryząc wargi ze złości.

— Nie — odpowiedział Gerber. — Chcę ci powiedzieć, że może drugi raz lepiej nam pójdzie. Drugi raz nie dam się złapać i odrazu powetujesz stratę. Każdej chwili gotów jestem do drogi.

— Nie kpij ze mnie, bo pożałujesz tego. Ja ci pokażę, z kim zacząłeś, ty złodzieju... Daję ci czas do jutra. Jeżeli w przeciągu tego czasu nie odwieziesz całego towaru tam, gdzie miałeś odwieść...

— To pewno każesz mnie aresztować? co?

— To się pokaże. Ale zapewniam cię, że na sucho ci nie ujdzie...

— Dobrze, dobrze — odrzucił Gerber, podnosząc się cokolwiek na łóżku. — A teraz idź do stu djabłów i nie rób mi tu awantur. Zresztą możesz wnieść na mnie skargę, a może sąd przyzna ci odszkodowanie. Do widzenia, panie Harden!

Harden trzasnął drzwiami i wypadł na ulicę wściekły na Gerbera i sam na siebie.

W ślad za nim pobiegł głośny wybuch śmiechu Gerbera.

Spółka została rozwiązana bez wszelkich formalności.

—o—

Upłynęły miesiące.

Harden przebolał stratę samochodów i dziesięciu tysięcy dolarów, ale nie zrzekł się myśli sprowadzenia wódki na wielką skalę. Był jednak ostrożniejszy i sam dobrał sobie szajkę przemytników, którzy uczciwiej wywiązywali się z zadania niż uczynił to Gerber. Rozporządzając znacznym kapitałem, zorganizował przemytnictwo tak sprawnie, że otrzymywał co tydzień wielki transport wódek i od ręki sprzedawał z kilkakrotnym zyskiem. Z każdym dniem też nabierał znaczenia i powagi w świecie handlarzy zakazanemi napojami i stał się prawdziwym potentantem w dziedzinie butlegierstwa. Pod rozkazami jego stało kilkudziesięciu wyrafinowanych i zdeterminowanych rewolwerowiczów i zabijaków, którzy w imieniu swego szefa teroryzowali mniejszych przemytników i zmuszali właścicieli do kupowania towaru, dostarczanego przez szajkę Hardena.

„Rajski Kącik“ stał się główną kwaterą, skąd rozchodziły się na wszystkie strony rozkazy herszta. Majątek Hardena powiększał się z zawrotną szybkością i już w drugim roku trwania prohibicji dosięgnął okrągłego miljona.

A równocześnie wzrastał w siłę i pieniądze główny jego współzawodnik, Gerber. Równie podstępny i bezczelny, po zdobyciu około dwudziestu tysięcy dolarów za sprzedaną wódkę Hardena, użył tych pieniędzy jako kapitał obrotowy do dalszych operacyj na polu przemytnictwa i wkrótce stał się groźnym konkurentem dla Hardena. Niedosyć na tem, że psuł Hardenowi rynek, sprzedając przemycaną wódkę znacznie taniej, ale kilkakrotnie napadł ze swymi ludźmi na transporty Hardena i korzystając z chwilowej przewagi w ludziach, zabierał towar i przepędzał eskortę.

Między byłymi spólnikami zawrzała walka na śmierć i życie.

Nasyłali na siebie morderców, ale wszelkie zamachy były w każdym wypadku udaremnione. Tak Harden jak Gerber otoczyli się przyboczną strażą zaufanych ludzi, opłacanych setkami dolarów tygodniowo, obydwaj nigdy nie wychodzili na ulicę bez eskorty i obydwaj jeździli w opancerzonych samochodach, zabezpieczonych od kul rewolwerowych lub karabinowych.

Między najemnikami Hardena i Gerbera często odbywały się krwawe walki, w których kilkunastu rewolwerowiczów straciło życie, ale w każdym wypadku policja nie wykryła sprawców mordu. Wiedziano tylko, że Harden i Gerber stoją na czele wrogich sobie band butlegierskich, ale żadnemu z nich najsprytniejszy prokurator, udziału w przestępstwach nie mógł dowieść.

Wojna między tymi potentatami podziemnego świata toczyła się z coraz



Na brzegu jeziora usiedli w skwarne południe lata dwaj zmęczeni wędrowcy.. Daleka i żmudna droga wyczerpała zupełnie ich siły. Tutaj jednakże, nad cichą wodą, powoli powrócą znowu do nich i pójdą dalej w nieznany, pełen tajemnic i przygód świat.

większą zajadłością. Każdy z nich przysiągł, że nie spocznie, póki ziemia nie pokryje jego przeciwnika.

* * *

Spokój i pogoda panowały w skromnym domku Burskiego na dalekiem przedmieściu Brooklyna. Pozbawiony trosk o byt materjalny i rozmiłowany całem sercem w ubóstwianej córce, ojciec Haneczki pomału zapominał o przebytych latach cierpienia, które, jak przykry sen, przesunęły się przez jego życie.

Córkę psuł i rozpieszczał do najwyższego stopnia, w czem sprawnie pomagała mu stara Marja-Anna i matka Stefana. Dziewczyna jednak nie chciała korzystać z uległości i dobroci tych, tak bardzo kochających ją osób, i nigdy nie narzucała im swej woli. Usłużna, grzeczna i pracowita, koniecznie chciała pomagać Marji-Annie w prowadzeniu gospodarstwa domowego, a choć poczciwa murzynka ogromnie oburzała się na to, by „panienka“ trudziła swe białe rączki zmywaniem statków kuchennych. Haneczka niemniej była wielką pomocą w kuchni i mieszkaniu.

— Pracowałam i to ciężko dawniej, kiedy byłam jeszcze wiele młodsza, kiedy państwo Harden zmuszali mnie do robót najpierw domowych, a potem do tańca w „Rajskim Kąciku“, więc dlaczegożbym teraz choć troszeczkę niemiała popracować? — mówiła, gdy ojciec robił jej wymówki, że zamiast bawić się, traci czas na prozaiczne zajęcia domowe.

Umysł jej rozwijał się nadzwyczaj szybko. Po krótkiej przerwie, zaczęła uczęszczać do wyższej klasy w tym samym klasztorze, gdzie przebywała od czasu ucieczki z domu Hardenów i robiła w nauce tak szybkie postępy, że zakonnice nauczycielki wydziwić się nie mogły jej zdolnościom. Oprócz nauki w klasztorze pobierała lekcje języka polskiego, muzyki i rysunków w domu, a każdą wolną od pracy naukowej chwilę, zapełniała jakiemś pożytecznem zajęciem, czy to przy gospodarstwie, czy też na czytaniu dzieł wielkich angielskich i polskich poetów.

Stefan przychodził dwa razy w tygodniu na cały wieczór, a w niedziele, o ile nie przypadł na niego dyżur w redakcji w której pracował, urządzali wszyscy wspólnie wycieczki za miasto i wracali do domu dopiero późnym wieczorem. Rzecz naturalna, że w wycieczkach takich brał zwykle udział stary Sogan, który tak serdecznie przywiązał się do rodziny Burskich i Lubiczów, że uważał się prawie za członka tych rodzin.

Nie zapomniał jednak Burski o zamordowaniu Wintersa i po porozumieniu się ze Stefanem oddał prywatne dochodzenie w ręce wybitnej agencji detektywów, która miała polecenie nie szczędzić wydatków i wysiłków, by odnaleźć mordercę czy morderców Wintersa i oddać ich w ręce sprawiedliwości.

Próżne jednak były wysiłki agencji. Dwaj najsprytniejszych detektywów prywatnych, sowicie opłacanych przez Burskiego, przez kilka miesięcy śledziło Hardena i Gerbera. Na nic zdały się ostrożnie przeprowadzane badania murzyńskiego olbrzyma, Sama, który jak dawniej, tak dotychczas był zaufanym sługą Hardenów i stale przebywał w „Rajskim Kąciku.“

Detektywi agencji zdołali jedynie stwierdzić niezbicie, że obydwaj podejrzani zajmują się butlegierstwem na wielką skalę, że nienawidzą się wzajemnie, ale tajemnica śmierci Wintersa jak była, tak pozostała niewyjaśniona.

Ostatecznie po kilku miesiącach dochodzeń, agencja detektywów, prowadzona przez ludzi uczciwych, poczuła swą bezsilność i zawiadomiła Burskiego, że nie uważa za odpowiednie pobierać od niego dalsze sumy na koszty śledztwa, gdyż każdy dolar, wydany na ten cel, jest bezpowrotnie i bezcelowo stracony.

Jednakowoż Burski i Stefan nie tracili nadziei i mocno wierzyli, że kiedyś przecież wypłynie na wierzch prawda

i śmierć Wintersa zostanie pomszczona. Rodzinie Wintersa składającej się z wdowy i dorastającej córki, Burski zapewnił byt w ten sposób, że dostarczył Wintersowej dosyć pieniędzy na otworzenie pracowni modniarskiej. Interes rozwinął się w stosunkowo niedługim czasie i dawał dochody, wystarczające do dostatniego utrzymania właścicielki i jej córki.

Co kilka miesięcy Burski odwiedzał wdowę po Wintersie i troskliwie dopytywał się, czy kobieta ma wszystko, czego jej potrzeba. W ten sposób starał się wypłacić dług wdzięczności, jaki zaciągnął wobec zamordowanego jej męża.

Podczas jednej z takich wizyt poznał w domu wdowy młodszego brata Wintersa, człowieka młodego jeszcze i energicznego, który narówni z Burskim i Stefanem Lubiczem zaprzysiągł zemstę na sprawcami śmierci brata. Karol Winters pozyskał odrazu sympatję Burskiego i znajomość ich po kilkudniowym pobycie Burskiego w Pittsburghu, gdzie przebywała wdowa po bracie Karola, zamieniła się w serdeczną i trwałą przyjaźń, spotęgowaną częstemi wspomnieniami o zamordowanym Piotrze.

Gdy agencja detektywów zaniechała dalszych kroków w kierunku wykrycia sprawców zbrodni, Burskiemu przyszło na myśl, że Karol Winters, nie w charakterze płatnego detektywa, ale jako brat zamordowanego i mściciel jego śmierci, mógłby prędzej dotrzeć do źródła prawdy i wykryć morderców.

Pojechał tedy do Pittsburgha i w niewielu słowach przestawił Karolowi propozycję wyjazdu do New Yorku i dalszego śledzenia Hardena i Gerbera.

— Nikt inni, tylko ci dwaj winni są śmierci pańskiego brata, a mojego serdecznego przyjaciela — mówił Burski do Karola Wintersa. — Kiedyś byli wspólnikami, dziś rozdzieliła ich chciwość i nienawidzą się. Kto wie, czy panu właśnie nie udałoby się zdemaskować tych łotrów...

Karol zamyślił się i po chwili rzekł:

— Pragnę i ja, by mordercy mego brata skończyli tak, jak na to zasługują. Gotów jestem życie całe poświęcić na ten cel i jeżeli pan przypuszcza, że istnieje choćby najmniejsza możliwość udowodnienia im zbrodni, w tej chwili mogę jechać z panem i szukać sposobu ich zdemaskowania.

Długo i obszernie rozmawiali o tej sprawie i ostatecznie postanowili, że Karol wyjedzie razem z Burskim i, zaopatrzony w odpowiednie środki pieniężne, obróci cały swój czas na zbieranie dowodów przeciw Hardenowi czy Gerberowi.

— Zdaje mi się, — rzekł ku końcowi rozmowy Burski — że jedyną właściwą drogą byłoby dostanie się pana w środowisko otaczające tych łotrów. Z doniesień agencji detektywów mamy pewne dane, że obydwaj stoją na czele doskonale zorganizowanych szajek szumowin społeczeństwa. Gdyby panu udało się dostać w szeregi takiej szajki, i zdobyć sobie zaufanie któregoś z hersztów, możeby i dowody się znalazły. Ale to rzecz trudna i co więcej niebezpieczna. Ci ludzie nie przebierają w środkach a moc mają za sobą i siłę pieniędzy.



**Rekord światowy w Biegu sztafetowym 4×100 ustaliła w ostatnim czasie sztafeta pań, należących do koła sportowego w Kolonji. Trasę przebyły w przeciągu 46,7 sekundy.**

— Nie ulęknę się niebezpieczeństwa, panie Burski — odparł poważnie Karol Winters. — Śmierci nawet się nie ulęknę, gdy będzie szło o pomszczenie śmierci drogiego mego brata. Jadę z panem i od jutra stanę się niepozornem ale upartem narzędziem sprawiedliwości i zemsty, które nie spocznie, dopóki mordercy nie będą ukarani.

Po przyjeździe do Brooklyna Karol Winters zapoznał się ze Stefanem i Soganem i długo naradzał się z nimi nad sposobami postępowania. Wszyscy zgodzili się na jedno, mianowicie, że Karol musi wkręcić się między opryszków Hardena lub Gerbera i, mając bliższą styczność z podejrzanymi, powinien starać się podchwytywać słówka mogące mieć styczność z zapomnianą już prawie sprawą zamordowania Piotra Wintersa.

*

W czasie najzajadlejszej wojny między Hardenem a Gerberem, a raczej między ich szajkami, Mike nigdy albo bardzo rzadko opuszczał swą główną kwaterę, która mieściła się w „Rajskim Kąciku.“ Jako głowa silnej i znakomicie zorganizowanej bandy opryszków nie zajmował się wcale prowadzeniem swej knajpy, a całą energję i spryt wysilał w kierunku wielkiego handlu przemycaną wódką i piwem oraz zwalczania znienawidzonego spólnika, Gerbera.

Zarząd „Rajskiego Kącika“ spoczywał w sprężystych rękach Grety, która obwieszona brylantami, wystrojona w jedwabie i aksamity, wszechwładnie królowała nad gromadką kelnerów i dziewcząt usługujących gościom, chętnie przybywającym z miasta na pijatyki i hulanki. Drobna sprzedaż wódki i innych zabronionych napojów kwitła w najlepsze i do kasy Grety płynęły dolary wartkim potokiem.

Harden czasem tylko pokazywał się w wielkiej sali „Rajskiego Kącika“ i pobłażliwem okiem spoglądał na zabiegi małżonki, która z niesłychanym sprytem potrafiła zabezpieczyć „Rajski Kącik“ przed najazdami policji i „suchych“, agentów i bez najmniejszych skrupułów i obaw prowadziła jawną prawie sprzedaż już nietylko napojów alkoholowych ale żywego towaru, gdyż zajęte w zakładzie dziewczęta, strojnie, jaskrawo i wyzywająco poubierane, poza podawaniem gościom potraw i napojów, miały jeszcze inne, tajemnicze zadania i obowiązki do wypełnienia.

Jedna tylko rzecz początkowo srodze martwiła Gretę. Oto z miarą powodzenia, wzrostu majątku i znaczenia w przestępczym świecie, Mike zaczął zaniedbywać małżonkę i podawnemu rozpoczął uganianie się za dziewczętami. Mając liczny i łatwy wybór tuż pod ręką, wśród kelnerek „Rajskiego Kącika“ coraz to inną dziewczynę obdarzył swemi względami i nie starał się nawet o zachowanie pozorów wobec Grety i reszty domowników i służby.

Nie pomagały kilkakrotne awantury urządzane przez zazdrosną i oburzoną panią „Rajskiego Kącika.“ Mike wysłuchiwał najspokojniej wymyślań, obracał wszystko w żart i dalej robił swoje. Hardenowa dąsała się i wywierała zemstę na dziewczynach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

2)

# Skarby Chana Mugańskiego

*Powieść sensacyjna* *Tłum. Jerzy Laskowski*

Część I.

Szczęście sprzyjało mu jednak, gdyż w hotelu „Atlantic" poznał Gafaniego, bruneta o międzynarodowym typie.

W ten sposób impreza filmowa, dla której odbyto długą podróż, została uratowana.

Od pierwszego wejrzenia O'Donnel wyczuł w Gafanim aktora, któryby z powodzeniem mógł zastąpić zmarłego przyjaciela w jego awanturniczych rolach.

Reżyser Benau, ruchliwy, okrągły grubas zgadzał się w zupełności z dyrektorem, wyraził tylko wątpliwość:

— Czy on potrafi grać?

— Mam wrażenie, że tak! Wygląda na takiego co wszystko potrafi! — odparł O'Donnel — i wreszcie możemy go wyrobić! Przecież pan nie takich już opracował!

— Ale my go zupełnie nie znamy. Co to za jeden?

— A cóż nas obchodzi jego sprawowanie się i obyczajność? Najmniej się interesuję jego kandydaturą do nagrody... za moralność. U nas nie klasztor i nie pensja. Jeśli się zgodzi, zwiążę go kontraktem, żeby nie zwiał przed zakończeniem zdjęć tu w Ameryce i następnie w atelier w Paryżu. A potem szczęśliwej drogi...

Gafani nie kazał się prosić dwa razy.

Coprawda targował się trochę z O'Donnelem co do wynagrodzenia, ale jak widać, nie miał kłopotów co do „jutrzejszego dnia," gdyż mieszkał w „Atlantic'u", do obiadu zjawiał się w smokingu, wydawał pieniądze.

Wielkie wrażenie zrobiła na nim piękna gwiazda filmowa Węgierka Mar-Molli. Nie jest wykluczonem, że przyjął zastępstwo Brossego, ażeby w przeciągu dwóch - trzech miesięcy pozostawać w jej towarzystwie.

Rozmowa Saverdy z Gafanim miała miejsce nie w hotelu „Atlantic", nie w Nowej Kartaginie, a w dwudziestu kilometrach od niej, w pustyni, na ruinach starego miasta, wśród murów, baszt i świątyń jakichś nieznanych bogów, równie nieznanych, jak i naród, zamieszkujący ten kraj na wiele wieków przed przybyciem konkwistadorów.

Te ruiny, mniej może artystyczne i malownicze, aniżeli zabytki architektury grecko - rzymskiej, ale bardziej monumentalne, nawet od świątyń i pałaców Egiptu i Adyro-Babilonji, skusiły O'Donnela do długiej podróży za ocean, gdzie miała być nakręcona część dramatu na tle architektonicznej potęgi odległych dziejów Południowej Ameryki, nikomu w Europie nie znanej.

Pod wysokiemi, masywnemi murami starego miasta, do połowy przez czas nadwątlonemi, rozłożyła się trupa filmowa, niby karawana bogatych podróżników w dzikich miejscowościach.

Rozbito kilka namiotów, nieprzemakalnych nawet dla tropikalnych deszczów, nieprzenikliwych dla widzów. Wnętrze namiotów, lekkie i portatywne, odpowiadało ich wyglądowi zewnętrznemu. Był namiot — kuchnia, namiot — stajnia dla wierzchowców, namiot — łaźnia z wannami i natryskami... Cały obóz.

Obok samochody ciężarowe, do samochodu - elektrowni włącznie.

Malownicze, potężne ruiny, pustynia, nowy kraj, komfort, interesujące towarzystwo, odpoczynek, zajmująca praca... czegoż jeszcze można było pragnąć? Nikt też nie pragnął, wszyscy byli zadowoleni i nie wiedzieli, jak okazać wdzięczność dla O'Donnela za tę południowo - amerykańską „niespodziankę."

Podług scenarjusza trzeba było dokonać następujących zdjęć:

Mar-Molli, odbywająca podróż ze swoimi przyjaciółmi, w stroju amazonki (przed chwilą wróciła z przejażdżki konnej.) Spotyka u podnóża ruin starożytnego miasta człowieka - widmo, błąkającego się po pustyni. Ten człowiek - widmo ma na sobie smoking, gdyż uciekł z więzienia, dokąd się dostał wprost z obiadu w pałacu wice - króla.

Widmo - Gafani, uszminkowany, w nowym z igły smokingu, czekając na reżysera i operatora, rozmawiał z Saverdą.

Hiszpan, nie zajęty w tym odcinku filmu, palił cygaro, bawiąc się szpicrutą. Kiedyś zabawiał się tak cienką i długą szpadą, celnie rażąc byków, przy akompanjamencie wściekłych oklasków całego cyrku.

Cały w białej flaneli i w białym tropikalnym hełmie, eksmatador robił wrażenie europejskiego dyplomaty w jakimś egzotycznym kraju.

— Ostrzygłem swoją kolettę i odszedłem, by żyć wspomnieniami — rzekł były matador.

— Ależ, drogi Savedra, tylko wspomnieniami nie można żyć! Potrzeba też trochę rzeczywistości, — dodał Benau, który, jak piłka wykulał się ze swojego namiotu. Miał na sobie ubranie z szarego płótna.

Dobroduszny nastrój po solidnem śniadaniu przeszedł prawie w gniew, gdy tylko w płomieniu jego obserwacji znalazł się Gafani.

— Co to jest? — zapytał groźnie, uderzając Gafaniego w brzuch zeszytem scenarjusza.

— Ja pana nie rozumiem — odezwał się zastępca Brossego.

— Nie rozumie pan? Wielka szkoda! Co ja mówiłem wczoraj o roli do pana? Człowiek błąkał się w pustyni kilka dnia, głodny, niewyspany, wymęczony... A więc: wychudł, zarósł szczeciną, smoking się podarł, podobny jest do djabeł wie czego! A pan naróżowany jak gigolo! Smoking wprost od krawca...

— Panie Benau, proszę nie zapomnieć, że nie jestem zawodowcem.

— Nie potrzeba być zawodowcem, trzeba czuć, kombinować, mieć mózg, wreszcie...

— Panie Benau, proszę bardzo — bez obrażania!

— Niech pan nie mędrkuje! Podczas zdjęć ja jestem dyktatorem! Przecharakteryzuje się pan natychmiast na znużonego, wychudzonego, wyniszczonego, z sińcami pod oczyma, z kilkudniową brodą...

Gafani z niechęcią zrobił kilka kroków w kierunku namiotu.

— Poczekaj pan! — zawrócił go reżyser. — Proszę podejść bliżej!

— Czego pan sobie jeszcze życzy? — ponuro zapytał Gafani.

— Życzę sobie, żeby pan zdjął smoking.

— Poco?

— Poto, że tak trzeba!

Gafani niechętnie wykonał polecenie.

— Daj pan tu — Benau prawie wyrwał smoking z jego rąk, rzucił na piasek i tańcząc, zaczął go przydeptywać.

Nowy aktor, zacisnąwszy pięści, był gotów rzucić się na Benau'a.

— Jak pan śmie?

— Dla dobra sprawy wszystko mogę... Dyrekcja zwróci panu wydatki.

Na tę scenę weszła Mar-Molli w męskim stroju do jazdy konnej.

Jasny żakiet, jasne spodnie, buty z ostrogami, melonik w ręku szpicruta.

Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, tak paradny był Benau, z zapałem tańczący na smokingu.

A Gafani, powstrzymując wściekłość, uprzytomnił sobie swoją głupią i poniżającą sytuację, a zwłaszcza w obecności pięknej aktorki, dla której dał się wciągnąć w to wszystko.

Savedra pocieszała go:

— Podczas pracy nie należy się obrażać. On ma rację. Dla dobra sprawy. Zupełnie inaczej rzecz się przedstawia. w życiu prywatnem. Tam nie można pozwalać na deptanie sobie po nogach.

W odpowiedzi na to pocieszenie Gafani bąknął coś pod nosem.

Przekonawszy się, że smoking przybrał odpowiedni wygląd, Benau przerwał swój taniec. Spocony grubas już łagodniej się zwrócił do Gafaniego:

— Racz pan się ubrać, ucharakteryzować i zaraz spowrotem.

Poczem zawołał już innym tonem:

— Operator do mnie... Brodzki!

— Jestem! — odpowiedział Brodzki, mały, silny blondyn z aparatem na długim drewnianym statywie.

Po kilku minutach wrócił Gafani.

Krytyczny rzut oka i Benau wyraził zadowolenie:

— Teraz — brawo! Teraz można uwierzyć, że pan kilka dni o głodzie i chłodzie wałęsał się po pustyni! Proszę się nie gniewać na mnie, Gafani. Pies, który szczeka, nie gryzie. Nie jestem złym człowiekiem, ale niech pan wejdzie w moje położenie. Wielka odpowiedzialność ciąży na mnie. W ten film włożono miljony. On musi udać się pod każdym względem. Najmniejsze niedociągnięcie, mała „gafta“ i — klapa! Dyrekcja ma straty, a reżyser, zresztą zupełnie zasłużenie, dostaje kolanem poniżej pleców i... wilczy paszport.... Tak, tak, kochany przyjacielu... A teraz chodźmy naprzód na jakieś pięćdziesiąt metrów na równinę... Mar-Molli, Gafani, Brodzki za mną!...

### 6. Niespodziewany „double“

Przypomniawszy sobie, Benau dodał:

— I koń...

Wystrojony foryś trzymał za uzdę karego, pod angielskiem siodłem konika, którego sierść wyczyszczona staranną ręką, połyskiwała w słońcu.

Benau zdążył zauważyć to.

— Mar-Molli spotyka Gafaniego na pustyni już po dłuższej przejażdżce konnej. A koń jest wprost wyprowadzony ze stajni! Grum, siadaj na Kolchasa i przegoń go galopem z dziesięć minut, niech się spoci...

Za tą małą grupką poszli i ci, którzy nie brali sumiennie wpędzając Kolchasa w pot i zmęczenie, złoty wamp, Senegalczyk Donkunda, komik Gromendja, doktor Zeraicz. Jako ostatni podszedł O'Donnel, czterdziestoletni mężczyzna z okrągłą młodzieńczą twarzą, zawsze wesoły, uprzejmy.

Podczas, gdy Grum robił galopem wielkie koła, udziału w zdjęciach: Savedra, Manija d'Or, rudo - Benau tresował zastępcę Brossego:

— Proszę iść wprost na mnie, zatrzymując się, spotykając... więcej cierpienia w oczach! Wybałuszyć je, obracać! Otworzyć usta, głęboki oddech! Brak tchu... Ależ nie tak, do licha! Trzeba się wczuć choć odrobinę w swoją rolę! A pan jeszcze mówił, że my go obrobimy — szukał Benau współczucia u O'Donnela.

O'Donnel śmiał się:

— Niech się pan nie denerwuje, drogi Benau...

— Jakże się nie denerwować!... Na miły Bóg! Trzeba byłoby go dać na pierwszy plan... wielka głowa... to robi wrażenie!...

— Rozumiem i współczuję. Ale nie spieszmy się! Niech on się doprawdy przejmie swoją rolą. Najpierw proszę go zdjąć idącym zdaleka. Od tego wzgórza. Niech stamtąd wyjdzie.

— Racja, racja... — podchwycił Benau. — Najpierw Brodzki nakręci kilka metrów dzikiego krajobrazu, a potem z poza wzgórza... wyj.....

Benau się zaciął, jak zaklinacz, który wywołał innego ducha, aniżeli się spodziewał...

Ależ to zaiste duch!...

Sobowtór Gafaniego, wychodzący z poza wzgórza!

Sam zaś Gafani z ciała, krwi i kości stał obok Brodzkiego.

Duch zbliżał się zupełnie podług recepty Benau'a: zatrzymywał się, spotykał, wzrok miał utkwiony nieruchomo, wygląd cierpiętnika... Smoking w strzępach... rozdarty gors brudnej nakrochmalonej koszuli...

Wszyscy zamilkli z przerażenia, nie odrywając oczu od człowieka — widma. Było coś strasznego w wyglądzie tego nieszczęśliwca, upadającego i konającego, dlatego, że był rażąco podobny do Gafaniego i dlatego, że usta miał oblepione wielkiemi trupiemi muchami...

Pierwszy oprzytomniał Benau.

— Brodzki!... nie tracąc jednej sekundy... naprzód... dać na pierwszy plan... maksimum zbliżenia. Prędzej, Brodzki! Póki jeszcze żyje!...

Jak konna artylerja, wysunął się na pozycję Brodzki.

Na kilka kroków przed człowiekiem — widmem wrósł w ziemię, jak wkopany, mając na piersi czarne pudło aparatu, i zaczął z trzaskiem nerwowo kręcić.

Po kilku sekundach widmo, potknąwszy się ostatni raz, upadło na piasek.

Brodzki nie stracił głowy i „nakręcił“ moment upadku oraz postać rozciągniętą na piasku.

Cała trupa, O'Donnel i doktor Zeraicz, ocknąwszy się z odrętwienia, rzucili się tam, gdzie na piasku leżał nawznak sobowtór Gafaniego ze spieczonemi i oblepionemi przez muchy ustami. Ale reżyser nie miał litości:

— Nabok! Wszyscy nabok!... Tylko Mar-Molli bliżej! Proszę patrzeć na ciało ze zdumieniem, z zaciekawieniem... współczując. Nachylić się... tak! Brodzki, kręcić!... Mar-Molli mechanicznie wypuszcza z ręki szpicrutę... tak, dobrze... bardzo dobrze!... Koniec!

Uch-ch! — dopiero teraz westchnął pełną piersią Benau, tryumfując i ciesząc się na kilkadziesiąt metrów z tak dokumentalnych zdjęć:

— Teraz film zabłyśnie, jak brylant... jak brylant!

Bezpośrednio po tem reżyser ustąpił miejsca człowiekowi.

— A teraz trzeba się natychmiast zająć nieoczekiwanym sobowtórem Gafaniego. Też w smokingu... przez pustynię... tak wygląda życie... twórca scenarjusza nie podąży za niem... Doktor, gdzież jest doktor?...

Ale Zeraicz, wysoki, chudy wąsacz, już klęczał przy Ammalacie, badając puls i serce.

— Czy żyje? — zapytała Mar-Molli.

— Nie tylko żyje, ale za tydzień będzie zuchem jak się patrzy...

— Pan myśli? — wtrącił O'Donnel.

— Jestem przekonany. Wyczerpany jest głodem, pragnieniem, tułaczką, ale organizm — żelazny!... Na Korfu mieliśmy osiemdziesiąt tysięcy takich samych pacjentów, cała nasza serbska armja, cofająca się przez Albanję. Nie ludzie, a upiory... A po miesiącu te upiory walczyły jak lwy na froncie pod Salonikami...

— Pan to pamięta, O'Donnal! Donkunda! — zawołał lekarz.

Atletycznej budowy wielkolud - Senegalczyk ostrożnie podniósł człowieka w tropikalnym smokingu i zaniósł go, jak dziecko, do jednego z namiotów, w którym mieścił się szpital polowy.

Głowa Ammałata bezradnie zwisała z rąk murzyna.

Mar-Molli z chusteczką w ręce podążyła za nim:

— Zaczekaj, Donkunda, ja nie mogę patrzeć na te wstrętne muchy!

Mówiąc to spędziła sino - stalowe osady i wytarła chusteczką otwarte, spieczone usta Ammałata.

Uwaga, jaką okazała młoda kobieta sobowtórowi, nie podobała się Gafaniemu... I wogóle Gafani był rozgniewany ostrem postępowaniem Benau'a i chociażby tem, że w danej chwili był tak niepotrzebny w swej charakteryzacji i smokingu, podeptanym obcasami reżysera.

Podszedł do Węgierki i zrobił jej zarzut:

— Mar-Molli, pani jest bardzo nieostrożna... nie wiadomo jaką chorobę może mieć pan... pan X... Pani wie jak łatwo w tym klimacie przenoszą się choroby?!

Mar-Molli nic nie odpowiedziała.

Cały obóz był wstrząśnięty niecodziennem wydarzeniem wtargnięciem zagadkowej, intrygującej rzeczywistości do scenarjusza, napisanego przez znanego francuskiego pisarza...

Kim jest ten człowiek? Jak się znalazł w pustyni w takim stanie i wyglądzie? Scenarjusz zbladł wobec „odcinka" życia, niepokojącego, tajemniczego.

Wszyscy proponowali swoją pomoc Zeraiczowi.

— Moi państwo, najlepszą pomocą będzie dla chorego, jeśli zostawi się go w spokoju! Mój pacjent wymaga zupełnego spokoju. Zresztą tylko dwie osoby mogą mu okazać realną pomoc: Donkunda, jako sanitarjusz, i kucharz, który ugotuje mu treściwy buljon z kury.

Po godzinie, Ammałat, który jeszcze nie odzyskał przytomności, leżał umyty przez sanitarjusza w czystej bieliźnie na czystem posłaniu. A obok, na nocnym stoliku — wyjęte z jego kieszeni portfel, rewolwer i monokl...

Zeraicz, siedząc u wezgłowia, czytał gazetę.

Do namiotu wszedł Gafani, już bez szminki na twarzy, w kraciastem ubraniu.

Oczyma odrazu spenetrował cały namiot. Jego uwadze nie uszły przedmioty, wyjęte z kieszeni chorego...

— Jeszcze nie wiadomo kto to jest?

— Widzi pan, że człowiek jest w omdleniu — sucho odrzekł lekarz, nie odrywając ócz od gazety.

— Przecież można się przekonać. W portfelu będzie napewno jakiś dowód tożsamości..

— Nie jestem policjantem i nie uważam za rzecz stosowną, grzebanie w portfelu pacjenta. Jak przyjdzie do siebie, sam powie, co będzie uważał za wskazane. Ale przedewszystkiem, kto panu pozwolił wchodzić do tego namiotu, panie Gafani?

— Nie wiedziałem, że tu nie wolno wchodzić bez pozwolenia...

— Więc niech pan o tem wie na przyszłość! I proszę o pozostawienie mnie i chorego...

Z wyglądu ostry Serb nie czuł najmniejszej sympatji do Gafaniego i nie krył się z tem. Cała trupa również, jeśli odnosiła się nieco łagodniej do nowego aktora, jednak zachowywała się wobec niego z pewną rezerwą. Czy były po temu jakie dane? Żadnych. Gafani umiał się zachowywać, był usłużny, uprzejmy do przesady, władał językami, dużo widział, potrafił być interesującym rozmówcą, mimo to jednak żadne serce nie stało dla niego otworem. Może znamionująca go chęć wkradania się w cudze łaski odstraszała od niego, tembardziej, że w swojem postępowaniu bywał nawet czasami bezczelny.

Zjawienie się sobowtóra zaniepokoiło Gafaniego. Samo słowo „dubler", „sobowtór" brzmiało w jego uszach jak ostrzeżenie.

Zmuszony do wyjścia z namiotu-szpitala, Gafani spotkał koło namiotu-jadalni O'Donnela, który odnosił się do niego lepiej, niż inni.

— Co pan powie, Gafani, o nowym „dublerze"?...

Gafani zagryzł wargi. Znowu to znienawidzone słowo!...

— Powiem, panie dyrektorze... może ten dubler zastąpi mnie w całym filmie? Benau jest nim zachwycony... Ja nic nie mam przeciw temu i, jeśli panowie sobie życzą zerwać kontrakt, jestem do usług....

— Bzdury, Gafani .. jaka mucha pana ukąsiła! Kontrakt pozostanie w mocy. Pan zagra swoją rolę do końca. A jeśli Benau, zachwycony pana podobieństwem z tym, z tym „darem" pustyni, wstawi kilkadziesiąt metrów poza panem, to doprawdy nie widzę racji do obrażania się... Żadnej... Pan jest nowicjuszem w naszem rzemiośle i nie wie, że najznakomitsi artyści są częstokroć dublowani. Naprzykład: jakaś „gwiazda" nieszczególnie jeździ konno, a podług scenarjusza trzeba wykonać jakąś trudną sztukę na koniu. W tym celu angażuje się świetnego jeźdźca, podobnego z twarzy i figury do gwiazdy, odpowiednio się go charakteryzuje i „dubler" wykonuje karkołomną sztukę, zamiast gwiazdy, która nie umie i nie chce narażać swego karku.

Nie, drogi Gafani, ani pańskiej ambicji, ani kontraktowi nie grozi nic złego... Niech pan będzie spokojny i zaostrzy sobie odpowiednio apetyt do obiadu. Kucharz nam szykuje dzisiaj taką ucztę, jaka nie śniła się nawet szachowi perskiemu...

### 7. O'Donnel u łoża Ammałata

Z godziny na godzinę Ammałat wracał do zdrowia i sił. Szybki powrót do zdrowia przedewszystkiem należało przypisać silnemu organizmowi sportowca i człowiekowi walki, a następnie starannej opiece Zeraicza.

Należy również podkreślić niemały w tem udział O'Donnela. Pełny radości życia dyrektor pozostawił lekarzowi zupełną swobodę działania.

— Drogi doktorze, niech pan bierze z naszych zapasów wszystko najlepsze: maderę, porto, szampan. Niech pan otworzy flaszkę dwustuletniego wina węgierskiego, które ma cudowne właściwości wskrzeszania umarłych, byle tylko stanął szybciej na nogi, człowiek podarowany nam przez pustynię!... Prawda, jak zdumiewająco jest podobny do Gafaniego?

— Słońce i w błocie odbija swe promienie...

— Co pan chciał przez to powiedzieć, mój sławny gderaski? Znowu nowa strzała pod adresem Gafaniego?... Ten jakoś nie cieszy się u pana mirem...

— Żadna strzała! Bywa jednak, że dwie osoby są do siebie tak podobne, że nie sposób je odróżnić, a mimo to jedna z nich przyciąga, a druga — odpycha....

— Rozumiem, złośliwy eskulapie, rozumiem... Proszę więc urządzić mi rendez-vus z tym, który „przyciąga"....

— Jutro już będzie w stanie rozmawiać bez wysiłku i uszczerbku dla zdrowia. Następnie w ciągu trzech — czterech dni leżenia, on musi mieć towarzystwo... Nie wolno pozostawić go samego z myślami...

— O, co do towarzystwa, to tego mu nie zabraknie! I nasza piękność Mar-Molli i nasz wamp Manija d'Or z przyjemnością podejmą się dyżurów u jego łoża... Pierwsze dlatego, że ma wspaniałe serce, druga dlatego, że nasz gość nieznany jest otoczony aureolą tajemniczości!... Niedawno jest wampem! Jakiemi językami on włada?

— Mówiłem z nim, a raczej zamieniłem kilka słów po francusku... A bredził po rosyjsku...

— Po rosyjsku?... — cudownie — ucieszył się O'Donnel, wychowany w Moskwie, gdzie jego ojciec założył pierwszą w Rosji fabrykę aparatów fotograficznych.

Gdy się rozpoczęła wielka wojna, O'Donnel-syn jechał do Francji, by stanąć pod własne sztandary. Dwukrotnie ranny, wyróżniony w walkach pod Arrasem, już w stopniu porucznika i z krzyżem na piersiach, został przeniesiony na front pod Salonikami do jednego z senegalskich pułków. Podczas zajęcia Monastera przez wojska franko-serbskie, O'Donnel został ranny poraz trzeci. Senegalczyk Donkunda nietylko, że wyniósł go ze strefy ognia, ale przeniósł na swych potężnych barkach przez góry do lazaretu, gdzie oddał rannego w ręce doktora Zeraicza. (Ciąg dalszy w nast. num.)

# Kraina szczerości i naszych trosk

***Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu***

## NAJDROŻSZE STRONY NA ŚWIECIE, TO STRONY RODZINNE...

*„Verte".* Dziękuję Pani za pozdrowienia i za śliczne zdjęcie. Nazwa, jaką Pani nadała swemu kajakowi, jest bardzo ładna — podoba mi się!

Resztę listu Pani, przeznaczonego tylko dla Sympatyków, oddaję do przedruku:

„Kochana „Bajko"! Dziękuję Ci najserdeczniej za uznanie mego opisu z podróży nad Ren. Słusznie wyraziłaś się, „Bajko", w swoim liście, że nie ma na świecie piękniejszej ziemi od tej, na której się urodziło. W czasie mego pobytu nad Renem, pomimo, że było tak cudownie i pomimo, że spędziłam tam najmilsze chwile życia, to jednak tęskniłam zawsze za rodzinnemi stronami i mową ojczystą...

„Dzikiej Cygance" dziękuję za przesłane mi uściski, które odwzajemniam.

Na zakończenie przesyłam pozdrowienia dla „Czarnego Olka". Nie rozumiem dlaczego Pan ten nazywa się szarym człowiekiem, kiedy napewno nim nie jest. Pozdrawiam także „Gwidona" i „Te — Em".

## ZWIERZENIA

*„Dziewczynka z Bydgoszczy".* W swoim ostatnim liście, znana nam wszystkim Sympatyczka — „Dziewczynka z Bydgoszczy", zwierza mi się, co zamierza robić po maturze. Zwierzenia te są bardzo miłe, więc podaję je niżej w skróceniu:

„No, już po gorączce! Matura zdana! Wszystko poszło pomyślnie i obecnie odpoczywam. Na uniwersytet nie pójdę, bo... chcę wyjść zamąż. Jedynie widmo staropanieństwa skłoniłoby mnie do dalszego studjowania, ale... to nie wchodzi narazie w rachubę. Mam nadzieję, że spotkam swój ideał. Wyobrażam go sobie bardzo pięknie: musi to być ładny i miły chłopiec, z którym chciałabym zamieszkać gdzieś na końcu świata, zdala od ludzi. To jednakże odkładam na później! Narazie chciałabym tylko znaleźć miłego korespondenta, któremu mogłabym powierzyć wszystko, wszystko! Pragnę kierować się szczerością, ale wzamian wymagam również bezwzględnej szczerości. Nie wiem tylko w kim korespondenta takiego odnaleźć. Może w „Podchorążaku", może w „Złotym Jabłku" — „Smutnym Esperantyście" lub „Lotniku z Pomorza"? Z Panami tymi chętnie chciałabym korespondować. Ucieszę się, jeżeli do mnie napiszą.

Załączam także pozdrowienia, wraz z prośbą o listy, dla: „Morowej Sztubaczki" — „Dziewczęcia z Pomorza" — „Przedwiośnia" — „Blondynki z pod Bydgoszczy" — „Czarnobrewej II." — Rozśpiewanej — roztańczonej „Pomorzanki" — „Adisa" — „Erosa" — „Wesołego łobuza z Warszawy" — „Rom - Mara" — „Tam - Ryszarda" — p. M. Grzegorskiego, — „Zawiszy Czarnego" — „Dzieniusia z Torunia" „Heńka" — „Maleńkiego Czupigrały" i „Smutnego Edka".

Oprócz tego proszę „Halinkę" i „Morową Sztubaczkę", koleżanki „po fachu", aby do mnie napisały. Czekam!

## SMUTNE MYŚLI I LEKARSTWO NA NIE

*„Samotna Oleńka".* Przygnębienie Pani, mam wrażenie, jest tylko chwilowe. Wypływa ono z nadmiaru smutnych przemyśliwań i zbyt jednostajnego trybu życia. Brak poprostu Pani czegoś coby Panią podniosło na duchu i dało jej radosną wiarę w życie. I póki będzie Pani brak tego bodźca, tej podniety, dopóty będzie Pani smutno i przykro. To już w naturze ludzkiej zresztą leży, że człowiek zastyga, gdy z życia nie bierze nic więcej, prócz szarych, powszednich trosk i zawsze tych samych zdarzeń.

Potrzeba Pani bodźca do życia, jednakże ten może przyjść nieprędko, dlatego musi Pani pomyśleć o stworzeniu sobie zainteresowań, które by Panią absorbowały i precz oddalały czarne myśli. Może to być praca społeczna, charytatywna, zajęcie się książkami, muzyką, sportem, robótkami, korespondencją — słowem niech stworzy sobie Pani krąg zainteresowań, któreby myśli Pani pochłaniały do tego stopnia, aby już nie starczyło czasu do smutnych refleksyj...

Spróbuj, „Samotna Oleńka", a może rzeczywiście w Twem życiu zmieni się coś na lepsze. I napisz do mnie znowu — szczerze i dużo...

A teraz przechodzę do spraw więcej urzędowych. „Dlaczego — pyta Pani — nie przesłałam pozdrowień p. S. w takiej formie, jak powinnam? Otóż dlatego, że dotychczas pisała Pani nazwisko nieczytelnie, tak, że nie mogłam go odcyfrować. Proszę więc Panią o ponowne podanie nazwiska p. S., ale już wyraźne, a życzeniom Pani uczynię zadość.

Dopisek z Pani listu zamieszczam dosłownie:

„Hallo! „Tabu"! Nie gniewaj się na mnie, że nie odpowiadam na list — nie zapomniałam — napisze napewno.

„Te - Em" z pewnych ważnych powodów odpowiedzi na list nie otrzyma; zresztą wątpię, czy korespondencja nasza przyniosłaby nam zadowolenie.

„Szaremu Człowiekowi" i „Człowiekowi z ludu", zasyłam moc pozdrowień.

## CZEKAM CIERPLIWIE NA NOWY ZNAK

*„Cicero".* Mam nadzieję, że tak samo jak ostatnim razem, odpowiedź moja dojdzie do rąk Pana i będzie ją Pan sobie mógł przeczytać.

Na samym wstępie dziękuję najserdeczniej za długi list, ogromnie miły i ilustrujący środowisko, które znam bardzo mało. Listu tego nie spaliłam, jak to sobie Pan życzył, ale schowałam go do listów najmilszych, do których się kilka razy wraca. Będę bardzo zadowolona, gdy p. Podchorąży znowu prześle mi taki list, który będzie tak długi i szczery że... „trzeba go będzie spalić". Czy mogę mieć nadzieję? Pozdrawiam Pana jak najserdeczniej i czekam cierpliwie na jakiś znak.

## SPODZIEWAM SIĘ

*„Zawiedziony".* List Pana przyniósł mi pomyślną wiadomość — otrzymał Pan wreszcie pracę i jest zadowolony — winszuję szczęśliwego obrotu sprawy. Otrzymać obecnie pracę, to tyle — jak ktoś powiedział — co wygrać wielki los. Spodziewam się, że i teraz nie zapomni Pan o „Krainie" i tak samo, jak w dniach zniechęcenia i smutku, będzie pisywał do nas listy i darzył nas nadal sympatją. Łączę wiele pozdrowień.

## KORESPONDENCJA

*„Bezimienny"* pragnie nawiązać skimś korespondencję i w tym celu przesłał kilka słów do „Krainy":

„Jestem Pomorzaninem. Mam lat 24. Czuję się bardzo opuszczony, gdyż nie mam rodziców i dlatego też pragnąłbym nawiązać korespondencję z jakąś miłą osóbką".

## ŻYCZENIA

*„Kapłanka Wschodu".* Chciałabym zobaczyć Twoje smutne oczy, Dziewczynko i przekonać się, jak błyszczą radością na widok mych słów. Zapewne w tej chwili są piękne?...

Nadesany wierszyk podoba mi się — oddaję go dzisiaj do przedruku. Więcej jednakże od wierszyka podoba mi się Twój liścik, „Kapłanko". Jest w nim coś nieuchwytnego, coś co ujmuje za serca i co głęboko przemawia. Może to smutek, który zamieszkał w Twojem serduszku, natchnął każde zdanie Twego listu tym nieuchwytnym czarem, a może Twoja poetyczna natura? Myśląc o Tobie, Maleńka, ogarnia mnie jakieś tkliwe uczucie. Chciałabym Cię serdecznie uściskać za te Twoje śliczne marzenia i za ten Twój smutek. Potrafisz pięknie cierpieć. Nie skarżysz się nigdy nikomu, dla ludzi masz zawsze jednakowy życzliwy uśmiech, tylko nieraz samotnie płaczesz za utraconem szczęściem. Lubisz siadywać w cieniu białej brzozy i marzyć o tem co było i minęło, co było piękne i własne, a teraz jest dalekie i obce...

Nie przesyłam Ci słów pocieszenia, bo taki smutek, jak Twój, jedynie czas potrafi uleczyć, ale przesyłam Ci, Droga Dziewczynko, szczere życzenia, aby po dniach pochmurnych, zaświeciło dla Ciebie jasne słonko i zatarło w Twej duszy wszystkie smutki i żale.

Na zakończenie podaję kilka słów z listu „Kapłanki Wschodu" do wiadomości zainteresowanym:

„Lazurze"! Przyjm milutkie pozdrowienie i napisz do mnie chociaż mały, ale miły liścik. „Karina"! Ślę Ci serdeczne pocałunki i proszę, napisz mi coś o sobie —

Dla „Uśmiechu Poranku" — „Czarnulki ze Świecia" — „Marona" i „Syna Dniestru" zasyłam wagon pozdrowień".

## NIE PYTAJ

Nie pytaj, czy kocham,
Nie pytaj, och, nie —
I tak nie uwierzysz,
Gdy powiem Ci — nie!

Nie pytaj i nie dręcz,
Bo serce zmęczone drgnie,
A wtenczas usłyszysz —
„Nie kocham Cię"!

*„Kapłanka Wschodu".*

## MYŚL ZAWSZE DOBRZE O LUDZIACH, NAWET... GDY SĄ ŹLI

*„Basia".* „Gdzie szukać szczęścia?" — pytasz, „Basieńko, w swoim rymowanym liściku. Przedewszystkiem w sobie samej i w przyrodzie. Jak wnioskuję z Twego listu kochasz przyrodę, staraj się więc miłość tę pogłębiać coraz to więcej. Jeżeli przyroda stanie Ci, się przyjacielem, nie zapragniesz innej przyjaźni, częstokroć kruchej i nietrwałej. Przyroda to jedyne, co trwałe na świecie, zawsze wierne i prawdziwie piękne. Temu, kto ją kocha, daje dużo szczęścia. Pamiętaj więc o tem, „Baśko"!

Nazwisko wymienionej przez Ciebie osoby zgadza się. Wierzę najzupełniej w to, co mi napisałaś, a nawet sama wyczuwam z listów, że młoda ta dziewczynka nie pojmuje tak życia, jak powinna. Ale to mało! Muszę bowiem mieć zawsze na względzie, że to tylko człowiek i z wadami i z zaletami. Potępić go z miejsca nie można. Trzeba podejść do niego z sercem tak samo, jak do kogoś innego.

To popłaca. Maleńki odruch serca i dobroci czasem w najdzikszej duszy budzi szlachetniejsze uczucia i zmienia ją na lepsze. O tem przekonałam się już tyle razy i zawsze w to wierzę. Pozatem dodam Ci jeszcze to, „Basiu", że panienka o której mowa, nie posiada kochających osób, jest samotna. Głowy jej nigdy nie przytuli matka i nigdy nie mówi jej dobrych słów. Pisze mi o tem nieraz i skarży się. Tak pragnie jakiejś odmiany w życiu, czegoś radośniejszego i lepszego. Złą ona nie jest tylko bardzo biedną i nieszczęśliwą. Życie jej jest bardzo smutne. Jeżeli będzie inne i ona inną się stanie. Wierzę w to i dlatego nie zmienię mego dotychczasowego ustosunkowania się do niej, lecz przeciwnie — podejdę jeszcze serdeczniej. Nie każdy potrafi być dobry, gdy mu źle i przykro, niejedna natura buntuje się przeciw temu, dlatego nie potępiam takich osób, jak nasza panienka, „Basiu".

A teraz żegnaj już, Kochanie i myśl zawsze dobrze o tych, którzy są źli, a mogą się stać dobrymi. Popatrz na nich inaczej, niż dotychczas, a przekonasz się, że tak będzie lepiej. I pisz, Maleńka, jak najczęściej!

## W ODPOWIEDZI TEMU, KTÓRY NIE WIDZI JASNEJ PRZYSZŁOŚCI

*„Leszek z Zielonej Doliny“.* Drogi Panie! Nie wykształcenie, ani bogactwo świadczą o wartości człowieka, jak to się Panu zdaje. Proszę, niech mi Pan wierzy, że nie stracił Pan jeszcze wiele, nie mogąc się kształcić. To jeszcze nie jest nieszczęściem! Posiada Pan w ręce bardzo ważne atuty, dzięki którym może Pan wyjść w walce życiowej zwycięsko. Atutami tymi to: zdrowie, młodość i dobre imię. Niech więc Pan postara się w pierwszym rzędzie o pracę. Wprawdzie trudno o nią w obecnych czasach, ale można podać ogłoszenia w gazetach, popytać się w tej i owej firmie, czy nie wakuje jaka.ś posada lub też poinformować się o zajęcie w biurach pośrednictwa pracy. Może się coś znajdzie. Niech Pan bierze pierwszą lepszą pracę, jakakolwiek się nadarzy, byleby była uczciwa. Praca nie hańbi, hańbi jedynie człowieka wstyd i wstręt przed pracą, niższą, cięższą. Dlatego do dzieła, „Leszku“! Najpierw, jak już powiedziałam wyżej postaw sobie za cel najważniejsze — zdobycie pracy, a gdy to już nie będzie aktualne, pomyśl o nauce. Książki i różne oświatowe kursy, jakich spotyka się wszędzie moc, powetuję Ci to, co zdaje Ci się, że już straciłeś. Wiedzę obecnie zdobyć łatwiej, niż pracę, dlatego na pierwszy plan wysunęłam posadę. I od tego radzę Ci zacząć. Wszystko inne ułoży się samo z biegiem czasu. Wytrwałości tylko i cierpliwości.

Wierszyki miłe, ale do druku się nie nadawają. Najlepiej będzie, gdy prześle je Pan listownie osobom, którym zostały zadedykowane.

Pozdrowienia dla „Zaczarowanej Cyganeczki“ — „Kariny“ — „Jadzi Leśniczanki“ — „Białej Uajali“ i „Fali Eteru“ — przekazuję.

## PROŚBA „MALEŃKIEJ KONWALIJKI“

*„Mała Konwalijko“.* Gdzie jesteś i co u Ciebie słychać, „Mała Konwalijko“? Przyślij mi znowu jakiś znak od siebie. Liścik Twoje są coraz to rzadsze i smutniejsze — może Ci bardzo źle, napisz więc, a ja jak zwykle prześlę Ci kilka słów pokrzepienia.

Przed chwilą odczytałam Twój liścik, w którym donosisz mi, że zamierzasz opuścić K. Zapewnie to już nastąpiło?

Oferty wszystkie Ci przesłałam. Nie wiem, czy skorzystałaś z którejś? O wszystkiem mi więc napisz i żegnaj już, „Konwalijko“.

Zakończenie listu Twego zamieszczam:

„Hallo! „Lawrence“! Listy Twoje są tak miłe, a słowa dobre, że jestem wzruszona przy ich odczytywaniu.

„Czarna Dziewczynko“! Całuję Cię serdecznie i proszę, nie gniewaj się, że jeszcze do Ciebie nie napisałam.

„Konwaljo“! Pozdrawiam i dziękuję milusińskim!

„Maruto“! Wzruszyłaś mnie do głębi — tak nie trzeba.

„Skowronku z nad polskiej niwy“ i „Carmenito“, pozdrawiam Was jak najserdeczniej i całuję Wam buzie.

A teraz w sprawie mej koleżanki słów kilka: Kto z Was, Drodzy Sympatycy, wróci wiarę w życie mej Przyjaciółce, „Marucie“? Kto do pomoże mi przekonać Ją, że istnieje wielka, prawdziwa miłość między ludźmi i że warto żyć, choćby czekając na tę miłość? Proszę bardzo pamiętajcie o „Marucie“ i mej prośbie“.

## KTO ODPOWIE MIŁO NA LIST?

*„Ziutka z Pomorza“.* Liścik Pani oddaję do przedruku, aby go wszyscy mogli przeczytać i następnie miło na niego odpowiedzieć.

„Jestem szatynką o czarnych oczach. Lat 21. Podobno jestem strasznie poważna, ale ja myślę, że to tylko dlatego, że nie patrzę na świat przez różowe okulary, ale go biorę takim jakim jest.

Mieszkam na wsi i ogromnie kocham przyrodę, a zwłaszcza wiosną, gdy wszystko budzi się do życia. Wtedy poprostu brak mi słów zachwytu.

Bardzo się będę cieszyła, jeżeli ktoś skreśli do mnie choćby tylko kilka słów.

Przesyłam pozdrowienia wszystkim Sympatykom, osobne zaś „Synowi Dniestru“. Może napisze mi Pan coś miłego? Czekam“...

## BRZOZY

Widzę je w sinej oddali,
Stojące w długim szeregu,
Te nasze brzozy wysmukłe,
Te pnie ich bielsze od śniegu.

Zwiesiły swe włosy długie
Zielenią liści upstrzone,
Zda się, że płaczą przesmutnie
Przez wszystkich tak opuszczone.

Wicher potrąca gałązki,
One z lęku drżą wciąż lekko,
Czasami łza się potoczy
Po korze białej, jak mleko.

*Tadeusz Rawicki.*

## KILKA SŁÓW DLA SYMPATYKÓW OD — MIŁEJ I STAREJ ZNAJOMEJ

*„Takie małe coś z loczkami“.* Ostatni list Pani dostał się do moich rąk, ale już po odczytaniu pierwszych wierszy, zauważyłam, że był przeznaczony dla kogoś innego. Nie namyślając się więc długo odesłałam list p. D. W., a sobie zostawiłam tylko kilka zdań, które niżej zamieszczam:

„Miłe, Nieznane Figlarki — „Śnieżyczko“ i „Gwiazdeczko“! Przyjmijcie ode mnie wiele uścisnień i promienny uśmiech. Bądźcie zawsze, Dobre Dziewczynki, takie młodzieńcze i pełne radości. Pamiętajcie! Dziękuję Wam za dwukrotne pozdrowienia, które odwzajemniam w pełni.

Przemiły Chłopczyku, „Wirrycie“, mam dla Ciebie wiele sympatji — napisz do mnie, dobrze? Naturalnie o ile masz szczerą ochotę i wolę (Proszę nie myśleć o kurtuazji, bo w tym wypadku, nie lubię tego).

Dla „Człowieka z ludu“ ślę serdeczny uśmiecn... wraz z prośbą o przebaczenie, że nie piszę. Czynię to jednak z pewnych względów. Proszę nie mieć o mnie złego wyobrażenia, dobrze?

Nieznanemu „Heńkowi“ — „Inżynierowi z Francji“ — „Jerzemu“ i „Jankowi“ przesyłam serdeczne, szczere uściśnienia rąk.

## TY POD BRZMIENIEM ŻYCIA SIĘ NIE ZGINAJ

Ty pod brzemieniem życia się nie zginaj,
Choć ból i gorycz napełnia Ci duszę,
Ale na szczyty mądrości się wspinaj,
Choćbyś czuł w sercu: pustkę, nicość i głuszę.

Nie daj się złamać, choć szaleją burze —
Bo tutaj leży życiowa potęga!
Życie człowieka — to nie same róże
Splecione w wieńcu, lecz ciernista wstęga.

Dąż wciąż do prawdy i jej zawsze pragnij,
Bo ona tylko da Ci spokój ducha.
Okruchów jednak tej prawdy nie kradnij,
Sięgaj po całą!!! Co?... Chwyta Cię trwoga?
Więc padnij, bo jej na klęczkach się słucha —
To prawda z Boga, w Bogu i przez Boga!

*„Wesoła Irutka“*

## „DLACZEGO?“...

*„Eros“* nadesłał na moje ręce kilka słów z prośbą o przedruk, oto one:

„Hallo! W. S. 207 Inowrocław! Dlaczego nie odpowiadasz na moje listy? Czekam odpowiedzi!

Pozdrawiam serdecznie „Dzinkę“ — „Królewnę Mary“ i i Dziewczę z Kujaw“, dziękując równocześnie za pozdrowienia. Napiszę trochę później. A może tymczasem napiszecie same, bardzo byłbym wdzięczny?“

## PAMIĘTAJ!

*„Wesoła Irutka“.* Kochana „Irutka“! nie wiem, jak Ci podziękować za wszystkie dobre słowa, które mi nadesłałaś w liściku. Boję się, że proste, suche „dziękuję“ to mało, jak na tyle serca. Może kiedyś, „Irutko“, będziesz czegoś potrzebowała, jakiejś rady lub pomocy, zwróć się więc, proszę, do mnie śmiało. Pamiętaj, że dług mój nie wyrównany, a tak bardzo chciałabym go wyrównać, robiąc coś dla Ciebie. Czy nie zapomnisz o tem, Kochanie?

Wierszyk zamieszczam. Również Twój apel: „Przesyłam szczery uścisk dłoni przemiłemu chłopczykowi p. Fr. Dymowskiemu.

Moc pozdrowień i uścisków zasyłam także wszystkim tym, którzy bawili ze mną w ubiegłym roku w Gdyni. Czy pamiętacie jeszcze „Irutkę“, tą wesołą dziewczynkę? Niedługo zobaczymy się znowu — spotkanie na plaży!!!“

## *Teczka Wujka Janusza*

## METAMORFOZA

*„Biała Uajali“.* Jestem bardzo mile zdziwiony — „Biała Uajali“, smutne dziewczątko — cieczy się i promieniuje. Żal i skargi już odeszły, „Biała Uajali“ jest radosnym człowiekiem, który śmiało i jasno patrzy w życie. Co za cudowna metamorfoza!

Przyszło szczęście! Strzeż go więc, Droga Dziewczyno, jak skarbu. Pilnuj go, aby nie odeszło, bo szczęście rzadko wraca, gdy odchodzi. Przyjm uściski dłoni i wiele dobrych życzeń na przyszłość od oddanego Ci przyjaciela.

Czy wiersze Twoje „Biała Uajali“, będą teraz również radośniejsze?

## I ZDAJE MI SIĘ NIERAZ...

Czasami wydaje mi się, żem już ostatnią
wyśpiewała pieśń...
Że niema siły twórczej we mnie, że zdusiła
ją życia pleśń!
I zdaje mi się, że dzień, w którym rzuciłam
rzewne pieśni,
Jak echo dawnych śnień, cudnych śnień,
przeminął już boleśnie
I zdaje mi się, że we mnie ponure są tylko
ciemnie
I pustki grobowej cień!

A jednak są czasem chwile, że jakaś nowa siła
Wstępuje we mnie wiarą, że dusza się znów
zbudziła —
I znów zakwita w sercu kwiat mych dawnych
cichych marzeń,
Tak pełen szczęścia, słońca, nowych, jasnych
wyobrażeń
I wtedy pisze moje wiersze — moję strofki
rzewne
Tak śpiewne, jak wiosny dzień.

Są takie proste, jak moje serce, jak moja dusza
I każdy wierszyk taki łzy srebrne mi z ócz
osusza
I każda myśl radosna przychodzi cicho do mnie
I czuję, że wtenczas w życiu tak dobrze mi
ogromnie
I wierzę, że moje piosnki w taką godzinę
świetlaną
Popłyną w świata dale i w świecie pozostaną...

*„Biała Uajali“.*

## WIERSZE BEZ RYTMU

*„Marylka“.* W wierszykach Pani przebija dobre serduszko. W każdym zdaniu mieści się bardzo dużo uczucia, szkoda tylko, że forma wiersza zupełnie spaczona. Momentalnie wyczuwa się, że autorka nie przyswoiła sobie jeszcze sztuki dobrego rytmu, potrafi tylko pięknie i szlachetnie myśleć. Może uda się Pani napisać dobrą nowelkę lub felieton. Proszę, niech Pani spróbuje i następnie prześle mi rękopisy do oceny.

Dziękuję jak najuprzejmiej za pozdrowienia i „komplimenty“ i odwzajemniam się szczerym uściskiem dłoni.

## NOWELKĘ, O ILE BĘDZIE DOBRA — ZAMIESZCZĘ

*„Ka-El“.* Nie mogę Panu powiedzieć nic pewnego, ale zdaje się, że nie. Nowelkę, o ile będzie dobra, zamieszczę z przyjemnością. Serdecznie pozdrawiam.

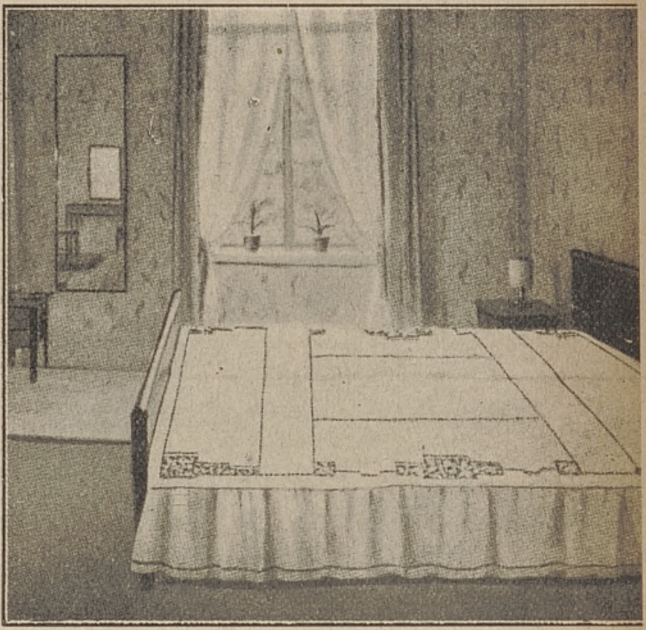
# Raj kobiet

## Wnętrze naszych mieszkań niech cechuje prostota

Praktyczne i nie pociągające za sobą nakładu zbyt wielkich kosztów urządzenia mieszkalnego domu, to zagadnienie w obecnych czasach jedno z najważniejszych. Napozór wydaje się ono łatwem do rozwiązania, a jednak w rzeczywistości jest dość trudne. Tu nie wystarcza bowiem sam gust, ale przedewszystkiem pomysłowość i umiejętność racjonalnego wyboru mebli.

Minęły już czasy, kiedy wnętrze naszych domów zastawialiśmy ciężkiemi szafami, rzeźbionemi szafonierkami, łóżkami z baldachimami wyścielanemi fotelami i rozłożystemi kanapami. Dzisiaj, w nowoczesnych domach brak zupełnie tych akwizytów. Wyparły je z powodzeniem meble nowoczesne, proste i praktyczne.





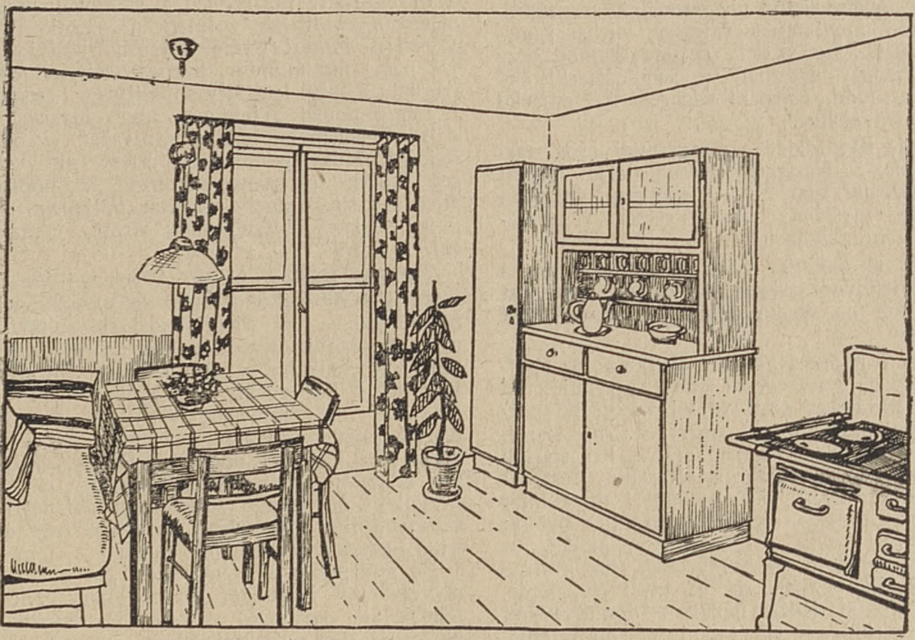
Jak wygląda mieszkanie średnio zamożnej rodziny informują nas zamieszczone obok zdjęcia. Widzimy na nich wnętrze pokoju stołowego, sypialni i kuchni, która równocześnie może służyć i za jadalnię.

Na pierwszy rzut oka uderza nas wielka skromność i bezpretensjonalność umeblowania. Niema tam nic niepotrzebnego, nic rażącego, ani przesadnego — całość to wspaniale sharmonizowana prostota.

Wśród takich sprzętów, jakże miło i wygodnie się obracać. Nie lękamy się zupełnie, że nam coś spadnie na głowę lub idąc, potrącimy coś i rozbijemy w gruzy. Jesteśmy zupełnie swobodni i bezpieczni. Gdziekolwiek... czy w kuchni, czy w jadalni, czy w sypialni.

Kuchnia! Z politowaniem myślimy o naszych mamusiach i babciach, które każdą półeczkę garnirowały koroneczkami, ściany tapetowały wzniosłemi sentencjami, haftowanemi na płótnie, a krzesła i stoły dekorowały mozolnie wyszywanemi serwetami i deczkami. Spójrzmy na wnętrze dzisiejszej kuchni. O ileż jest prostsze i wygodniejsze, a mimo to ładne i bardzo wdzięczne...

Nie wierzymy sobie poprostu, że jeszcze sypialnia naszej mamusi była wybita ciemną tapetą i posiadała łóżka z niebem á la Ludwik XV. To było w stylu, ale było niepraktyczne, niezdrowe i surowe. Dzisiejsza sypialnia to poemat pogody i



radości — spójrzmy na obrazek i dośpiewajmy sobie resztę.

Jadalnia, tak samo, jak kuchnia i sypialnia zadziwia praktycznością urządzenia. Szeroki rozkładany stół, proste wygodne krzesła, ławka imitująca kanapę, kredens i to wszystko. Wygodnie w niej i tak dziwnie przytulnie.

Należałoby wspomnieć jeszcze o saloniku, ale to zostawię na później. Zresztą, czyż przeciętny śmiertelnik zawraca sobie obecnie głowę salonikiem? Przeważnie nie! Dwupokojowe mieszkanie z kuchnią, to już szczyt marzeń. dla tych, którzy pobierają średnie uposażenia. Tacy „szczęśliwcy" przyjmują gości w jadalni! I goście odchodzą zadowoleni. Ani przez myśl im nie przyjdzie krytykować. Cóż? Gospodarze byli ujmujący, w wazonikach stały śliczne kwiatki, ściany zdobiły bajecznie miłe akwarele, na stole była pięknie wykonana serweta. Podziwiają po drodze to wszystko jeszcze raz i wracają zadowoleni.

— U państwa S. jest cudownie miło, jest u nich coś, czego nie można nazwać — mówi pani.

— Owszem można — jest wiele ujmującej prostoty we wszystkiem — kończy pan.

I bezwątpienia ma rację. — Nowoczesny prąd życia niesie ze sobą bardzo wiele tej prostoty, którą przejmują mimowoli w siebie ludzie i w dużej mierze wykorzystują ją przy urządzeniach wnętrz mieszkalnych domów. Zaprzyjaźnią się z nią, gdyż obok praktyczności, prostota posiada w sobie zarazem tyle piękna, wdzięku i estetyki.

M. Z.

## Przy wyborze żony nie grają roli pieniądze lecz zalety wewnętrzne

W Chicago, jedno z czasopism, wychodzących w dwumiljonowym nakładzie, rozpisało ankietę na temat, jaka kobieta najlepiej nadaje się na żonę.

Odpowiedzi wpłynęło około 500.000. Były między innemi najróżniejsze zdania, większość jednakże wykazywała, że charakter żony, a nie piękność jest warunkiem szczęścia w małżeństwie.

„Chciałbym, żeby moja żona miała oczy Grety Garbo, włosy jak Jean Harlow, a nogi Joan Crawford" — pisał ktoś.

„Wszystko mi jedno, czy moja żona będzie piękna czy brzydka, bogata, czy uboga. Chodzi mi tylko o to, aby miała dobry, łagodny charakter i (potrafiła dodać mi otuchy w ciężkich chwilach" — brzmiało kilkadziesiąt odpowiedzi.

„Chciałbym aby moja żona nie traciła równowagi ducha wtedy, kiedy mi się wiedzie źle. Nie sztuka być dobrą żoną w dobrobycie. Łatwo być pocieszycielką, kiedy niema czego pocieszać".

Najcenniejszą zaletą jest pogodne usposobienie. Dla mężczyzny walczącego w trudnych warunkach o byt, żona powinna być promieniem słońca, rozświetlającym mu szarzyznę życia".

Takich i podobnych odpowiedzi było najwięcej.

—o—

„Jestem biedny" — pisze pewien robotnik portowy z Nowego Orleanu. „Chcę mieć żonę... zapewne pomyślicie bogatą? Nic podobnego! Zupełnie przeciwnie Chcę, aby moja żona była równ. biedna jak ja. Nie chciałbym być zależny materjalnie od żony. Wolę, aby ona była mi wdzięczna za stworzenie jej bytu, aniżeli, aby miała mi wypominać majątek".

Pewien buchalter z Chicago stoi na zupełnie odmiennem stanowisku: „Ożenię się tylko z bardzo bogatą kobietą. Przedewszystkiem dlatego, że nic tak nie ozdabia i nie ułatwia życia, jak pieniądze, a powtóre dlatego, że tylko żeniąc się z kobietą bogatą będę pewny, iż wybiera mnie dla moich osobistych zalet, a nie dlatego, abym jej zapewnił byt".

—o—

Tysiąc odpowiedzi kładły nacisk na to, aby kandydatka na żonę była naturalna, tak co do cha-

rakteru, pozbawionego wszelkiej sztuczności i pozy, jak co do zewnętrznego wyglądu.

„Niema nic wstrętniejszego" pisze młody kupiec — „od wymalowanej, uszminkowanej kobiety. W mej przyszłej żonie chcę widzieć czar kobiecości istotnej, a nie lalkowatość manekina z wystawy mód".

Szereg odpowiedzi wypowiada się za blondynkami, mniejwięcej równa ilość ze sztatynkami. Stosunkowo najmniej odpowiedzi wymienia jako ideał żony brunetki i rude.

Co do tych ostatnich nie brak zastrzeżeń: „Rude kobiety są niebezpieczne. Wprawdzie jeżeli pokochają, to kochają całem sercem, ale jeśli się na męża pogniewają — biada mu!" twierdzi jakiś znawca rudych kobiet.

—o—

Charakterystycznem dla całej ankiety jest, że olbrzymia większość odpowiedzi kładzie nacisk nie na zewnętrzne, lecz na wewnętrzne wartości kobiety jako żony. Wewnętrzne zalety kobiety widzi największa ilość odpowiedzi w pogodnem usposobieniu, w miłym i równym charakterze. Wartości intelektualne wykształcenie, oczytanie budzi bardzo mały entuzjazm wśród autorów odpowiedzi na ankietę.

Przeciwnie nie brak odpowiedzi, które wyraźnie zastrzegają się: „za nic na świecie nie chciałabym mieć żony ,więcej odemnie wykształconej. „Wolę, aby moja żona była głupia, aniżeli aby miała być przemądrzała i imponować uczonością".

Z pomiędzy tych wszystkich odpowiedzi jury oznaczyło nagrodą jedną z nich, która brzmiała:

„Chciałbym, aby moja żona była taka, jak moja matka".

## DOBRA GOSPODYNI

### *Co zrobić z staremi ziemniakami?*

W piwnicy pozostało jeszcze dużo starych ziemniaków. Gotujemy jednak już nowe, a tamte, zeszłoroczne, zostawimy, bo już nie smakują, tak, jak powinny. Spróbujmy jednak te stare ziemniaki przyrządzić tak, aby smakowały, jak młode. Oto doskonały przepis:

Bierzemy duże ziemniaki i zostawiamy je w zimnej wodzie przez całą noc do namoczenia. Na godzinę przed obiadem obieramy je z łupin, wydrążamy z nich łyżką duże kulki, gotujemy je w dużej ilości osolonej wody, uważając, aby się nie rozgotowały, odcedzamy i natychmiast (aby się nie stały mączyste) polewamy roztopionem masłem, względnie młodą słoninką, poczem obsypujemy obficie zielonym koperkiem lub pietruszką. Cała sztuka przyrządzenia polega na tem, aby nie dopuścić do tego by stały się mączyste, bo tem oznaczają się stare ziemniaki.

# Posterunek nr. 5

### *Opowiadanie z służby KOPu*

Było to w grudniu, w noc ciemną, na odcinku granicznym kresów wschodnich. Wichura ścinała krew w żyłach, rzucając wściekle tumanami śniegu; zdawało się, że ziemia i niebo spowiły się w jedną mgłę śnieżną. Wszędzie nieprzeniknione ciemności, nawet odrobiny jakiegokolwiek światełka.

W wartowni na pryczy, otulony w kożuchy, leży w półśnie oficer, podporucznik, dowodzący wartą tego odcinka. Wtem nagle i szybkie kroki z za okna zerwały go z pryczy, przypominając mu obowiązek wartowniczy. Drzwi wartowni zgrzytnęły i razem z tumanem śniegu stanął w nich sierżant, zamykając je z trudem za sobą.

— Cóż tam słychać?

— Panie poruczniku, melduję posłusznie, że mróz się wzmaga i mamy obecnie 22 st. C.

— Tak, tak, sierżancie, co my na to, panie tego poradzimy? — to mówiąc wstał z pryczy i przeciągnął się leniwie.

Słuchajcie, sierżancie, trzeba będzie, panie, tego co godzinę zmieniać posterunki.

— Rozkaz, panie poruczniku, lecz do posterunku nr. 5 jest droga stanowczo za długa i niemożliwa do przebycia w ciągu godziny. Ludzie stamtąd wracają wycieńczeni, jak z wody wyciągnięci, oblepieni śniegiem i lodem; śnieg tam, panie poruczniku, sięga po pas.

Posterunek Nr. 5 był najdalej od wartowni wysuniętą placówką graniczną. Naprzeciwko posterunku, w odległości 200 m., płynęła rzeczka, tworząc granicę. Nie płynęła już, gdyż okuta lodami i zasypana śniegiem, stwarzała biały ścieg pośród kęp i nierówności terenu granicznego.

— Oni muszą tą noc przetrwać; nie można zmieniać programu. Brak nam narazie ludzi — odpowiedział po dłuższym namyśle dowódca.

W przyległej do wartowni izbie rozległ się hałas wartowników, powracających z posterunków. Głośne i ciężkie stąpanie, otrzepywanie butów, kożuchów i czapek ze śniegu napełniło izbę gwarem i życiem.

— No brachu? Jak się tam wam podobało to powietrze? — pyta wchodzących siadły, krępy kopista z drwiącym uśmiechem i zaczerwienionemi jeszcze po przerwanej drzemce oczami.

— Poczekaj no, kiedy ty tam poliziesz, to będziesz się inaczej migdalił: — mruknął ten, który co dopiero wrócił z warty zawieszając kożuch na gwoździu, inni zbliżyli się do stołu, gdzie jeden z kolegów czytał głośno gwiazdkowy numer gazety. Na chwilę urwał, spojrzał wokoło i wzrok jego padł na okno, które zasypane grubą warstwą śniegu, światła na zewnątrz nie przepuszczało, poczem zwrócił się do kolegów:

— Czy naprawdę tak źle jest, jak powiadacie

— Franek byłby nam prawie zesztywniał, gdyby tak o godzinę dłużej. Nie mógł się nigdzie ukryć, gdyż śnieg zupełnie schron zasypał. Jest tam nie do wytrzymania.

— Milczeć: ryknął sierżant — to wasz święty obowiązek, to służba. Ludzie zamilkli i wtulali głowy w swe barante futra. Wicher nadal głośno wył i targał wartownią.

— Co to? — pochwycił jeden z żołnierzy, podniesionym głosem — coś mi się wydaje, że...... cicho wiara — coś od strony rzeki..

— Co takiego?

Czy nie słyszycie?

— To wilki... — Rzucili po sobie pytającemi spojrzeniami.

— Wilki? Ha, ha, ha ha, — zaśmiał się Edziu Walczak z pod Konina. To jeno wicher se wyje. Lecz inny zaprzeczył temu.

— To było naprawdę wycie wilków i nic więcej. Muszą być bestje po tamtej stronie rzeki. Wiecie co? O ile przyjdą, to tylko w równinę przy posterunku Nr. 5, który z nas tam pójdzie na zmianę?

Wszyscy spojrzeli na młodego rekruta Rudolfa, Ruciem zwanego, który wystraszony powstał z pryczy. Wszyscy wybuchli głośnem śmiechem, a i sierżant spokojnie palący w kącie pod piecem „skręta" zawtórował donośnie. I zdawało się, jakoby śmiechem swym chcieli przepędzić bojaźń biednego Rucia. Nagle pod stołem rozległo się głuche wycie i warczenie. Mimowoli rekrut cofnął się bliżej sierżanta, a z pod stołu na czterech wylazł Kaziu Murlewski tak się zwał, szczerząc dwa rzędy zębów do Rucia.

Tego nie mógł przepatrzeć sierżant i zarządził gromkim głosem spokój, a że już był czas do zmiany warty, więc następną zmianę warty wezwał do wymarszu.

Żołnierze otulili się kożuchami i uchwycili za karabiny. Już twarze mieli poważne, gdy opuściwszy wartownię weszli w zadymkę śnieżną. Przejmujące zimno nie pozwalało na powolny pochód, a miotający śniegiem wicher zamykał im usta. Do światła przyzwyczajone oczy, nic nie mogły rozeznać w ciemnościach. Pochyleni naprzód, szarpani wichrem, po omacku zniknęli w zadymce.

— Stój! Kto idzie? — zagrzmiał głos wartownika nr. 5. Nastąpiła zmiana warty. Rekrut Rucio pozostał sam. Sam z wichrem, śniegiem i z swemi myślami, bijącem sercem i karabinem o 5-ciu nabojach.

Wicher w dalszym ciągu donośnie wyje, a śnieg zapalczywie siecze w oczy. Tam jest rzeka, którą na swoim odcinku zmuszony jest patrolować.

Z trudem podnosi głowę, aby raz poraz spojrzeć na nią, gdyż gęsty śnieg zasypuje mu twarz, a zwłaszcza oczy. Mniej więcej po półgodzinnem patrolowaniu oparł się na starej, pochyłej wierzbie, chroniąc się w ten sposób przed wichrem i śniegiem. Karabin postawił obok siebie, otulił się mocniej i dokładniej w kożuch, oddając się marzeniu. Już był w domu, widzi swoją rodzinę, ojca, matkę, — krzątającą się koło wieczerzy. Tak, już za trzy dni Gwiazdka. Cieszy się na myśl o urlopie. Może z 10 dni dadzą. Będzie w domu, wśród swoich, do których tak tęskni, mocno tęskni... Poczuł się tak marnem stworzeniem na tej pustyni, że aż mu żal ścisnął krtań i łza gorąca ukradkiem padła na śniegiem pokryty kołnierz kożucha. Cóż tam znowu, precz z takiemi myślami. Szybko uchwycił karabin i chciał opuścić wierzbę, gdy w tem głośne wycie od strony rzeki uderzyło weń jak obuchem. Przed nasypem rzeki, tuż niedaleko niego, odezwały się dalsze wycia, przechodząc we warczenie. Chór zmógł się, poprzedzany pomrukiem, niskim, złowrogim... Wilki. Krew w żyłach mu stężała ze strachu. Mimowoli cofnął się ku wierzbie, aby chociaż w jej koronie znaleźć możliwe schronienie. Ciężki kożuch jednak nie pozwalał wskrabać się na drzewo, kilka kroków od niego ukazały się już dwa siarczane ogniki. Pochylił się do przodu, aby każdy szelest usłyszeć. Z bijącem sercem, z zapartym oddechem, z karabinem gotowym do strzału, oczekiwał, wpatrując się w ślepia wilka. W pierwszej chwili chciał się wycofać do wartowni, lecz było już za późno, gdyż miał jedynie drogę wolną do rzeki, gdzie czekała go niechybna śmierć. Tak, on tu pozostanie i tem samem spełni swój święty obowiązek, jak to dzisiaj pan sierżant powiedział w wartowni. Wolałby jednak w tej chwili znajdować się w wartowni i widzieć sto takich straszących Murlewskich pod stołem, aniżeli jednego wilka, a tu ich stado wielkie, zdawało się jemu, że wilki z całego świata się zeszły, aby go pożreć. Stał się naraz odważny i drwiący z niebezpieczeństwa. Zuchwale spoglądał na wilcze ślepia, które raz poraz gasły i ukazywały się coraz bliżej. Jeden, widocznie najstarszy z nich odważył się podejść bardzo blizko. Reszta oczekiwała na hasło napadu. Czyżby mnie chciały nastraszyć? — pomyślał nieborak. W odpowiedzi usłyszał głośne, wściekłe, wyraźne wycie. Zbliżały się kołem do niego ze wszechstron. Szły, ostrożnie skradając się, nie wiedząc z jakim wrogiem się spotkają. Basowe warczenie jednego z nich zbliżało się coraz bliżej. Dłużej nie wytrzymał. Strach poderwał mu karabin i huk rozległ się, zakończony bolesnym skowytem wilka, ugodzonego widocznie celnym strzałem. Na chwilę ustało wycie, lecz nie na długo, bo zwartym szeregiem, gryząc się między sobą ruszyły na dogorywającego towarzysza, szarpiąc go na strzępy. W międzyczasie wartownik wziąwszy to jako napad ze strony wilków na niego, wystrzelił ponownie trzy naboje w kotłującą masę wilków. Ostatni jeszcze nabój w podajniku. Ostatni raz repetuje i z głuchem trzaskiem wyskakuje łuska. Karabin jest naładowany.... ostatnim nabojem, gdy tego zużyje pozostanie bezbronny.

Trzeba korzystać z kolacji wilków i wejść na drzewo — pomyślał Rucio. Zapóźno, gdyż nagle szarpnięcie za kożuch zmusiło go do użycia kolby karabinu. Coś skoczyło na niego, ominąwszy go padło w śnieg. W skoku jeszcze uchwyciło go za ramię, udarło z rękawa kawał futra. Nagle nastąpił wystrzał, spowodowany borykaniem się żołnierza z wilkiem. Rekrut z tak wielką siłą bronił się kolbą, że pozostała mu w ręce tylko lufa. W tej samej chwili poczuł silne szarpanie za pas karabina, coś schwyciło mocno za lufę. Ochrypłe, ujadające cienie rzuciły się na niego, wszędzie zielone ogniki. Wilki szarpały już kożuch w strzępy i pod ich ciężarem zwalił się żołnierz na ziemię twarzą w śnieg. Poczuł gorące oddechy bestyj. Czuł jak prują mu mundur, jeszcze próbował dobyć bagnetu z lufy, lecz siły spuściły go i zemdlał.

Nagle ponad zkłębioną masą gryzących się wilków świstnęła kula i zabłysnął w oddali ogień karabinu ponim trzy, cztery, pięć i więcej. Wilki, spłoszone kanonadą, w popłochu wycofały się. Stanęły wielkim półkolem, oczekując odsieczy. Następowały strzały, coraz bliżej, i bliżej.

Żołnierz leżał w śniegu. Wycie wilków mięszało się ze świstem kul. Spostrzegły wilki, że nie jeden, lecz więcej ludzi się zbliża, ucichły. Spokojnie wycofały się na znaczniejszą odległość, znikając w ciemnościach. Młody rekrut leżał bez ruchu na ziemi. Wokoło poniewierały się stratowane w śniegu przez wilki resztki kożucha. Karabin, a raczej lufa obok niego. Żył jeszcze i oddychał. Ran na szczęście nie odniósł, prócz lekkich obrażeń na ręce. Przynieśli go jeszcze zupełnie osłabionego do wartowni. Za nim wlekli żołnierze trzy ubite wilki, chude, na długich łapach.

Po godzinie wilki powróciły. Na nowo rozpoczęły wyć i szukały nowej ofiary. Nic się jednak nie poruszyło wokoło. Posterunek nie był w tą noc powtórnie strzeżony.

Za dwa dni znalazł się Rucio na 14-to dniowym urlopie wśród swoich, gdzie o niecodziennych przygodach z miną junaka opowiadał.... nawet swej .... narzeczonej.

A. Osiński.

# *Wśród warjatów*

*czyli*

## *Upiór zamku Sokolskich*

*(Romans)* 95)

„Drogi panie, co się stało,“ zawołał Zygmunt wzruszonym głosem. „Jestem zaniepokojony pańską miną. — Oh, mój Boże, czyżbym dobiegłszy do celu, miał doznać nowego rozczarowania?“

„Na innem miejscu pomówimy spokojnie i rozsądnie; najlepiej w pokoju pana hrabiego!“ odparł detektyw.

„Dobrze, chodźmy do mojego pokoju,“ wyszeptał Zygmunt, „rozmówimy się tam bez świadków.“

Zygmunt, nie przeczuwając nic złego, wszedł do swego pokoju. Lister wsunął się za nim jak zły cień.

Obydwaj byli w tym salonie, gdzie przed chwilą Lola i Satanelli uknuli straszny plan.

Loli nie było widać. Hrabia Zygmunt i detektyw stali naprzeciwko siebie.

„Panie hrabio, proszę siadać,“ rzekł detektyw, podając Zygmuntowi krzesło.

„Nie traćmy czasu,“ zawołał Zygmunt z źle ukrytem zaniepokojeniem, „mów pan, jak sprawy stoją.“

„O nie, pan hrabia musi mnie wysłuchać zupełnie spokojnie,“ odparł Lister i posadził hrabiego Sokolskiego przemocą na stołku.

Zygmunt przeczuwał coś złego.

„Skróć pan te męki!“ zawołał zmienionym głosem.

Detektyw usiadł obok niego.

„Panie Lister, zaklinam pana, błagam, powiedz mi pan prawdę o Anielci! Co oznacza ta ucieczka mojej córki?“

„Co oznacza?“ zawołał detektyw, wyjmując chusteczkę, jakby chciał nią ochłodzić spocone czoło. „Panie hrabio, z Anielcią nie jest tak źle, jak pan może przypuszcza.“

W tej chwili podniosła się z za stołu kobieca postać. Była to Lola!

Twarz pięknej, młodej kobiety była trupioblada, a jej oczy płonęły złowrogiem ogniem. Wyszła z ukrycia i skradała się na palcach do krzesełka, na którem siedział Zygmunt.

Teraz stała za jego stolikiem. Nieszczęśliwy nie zauważył tego; jego wzrok spoczywał badawczo na marmurowej twarzy detektywa.

„Zapewniłeś mnie pan przed chwilą,“ zawołał hrabia Zygmunt zniżonym głosem, że nieobecność Anielci jest zupełnie bez znaczenia. Lecz gdzie poszła moja córka? Dlaczego opuściła pokryjomu hotel?“

Lola wyjęła w tej chwili flaszeczkę z kieszeni, którą jej wręczył przedtem ojciec i wylała kilka kropli na chusteczkę.

W pokoju rozeszła się gryząca, nieprzyjemna woń.

„Teraz powiem panu, co się stało z Anielcią,“ rzekł Lister i rzucił Loli krótkie, ale wymowne spojrzenie. — „Pańska córka wyszła z hotelu, ponieważ dowiedziała się, że jej grozi niebezpieczeństwo. Wie pan, co się stało? Lola jest w Berlinie!“




W Angljl zachował się jeszcze podatek kościelny zwany „dziesięciną“. Przeciwko płaceniu tego podatku wystąpił obecnie związek rolników angielskich, który zorgan. demonstracyjny pochód w Londynie.

„Lola w Berlinie?“ zawołał Zygmunt Sokolski drżącym głosem, „Lola w Berlinie? I Anielcia nie wie o tem? W takim razie przygotowała to niecne oszustwo. Precz z — — —“

Hrabia Zygmunt urwał rozpoczęte zdanie, gdyż w tej chwili zarzucono mu z tyłu na twarz chustkę. Nieznajome ręce przyciskały ją do twarzy Sokolskiego.

Zygmunt podniósł ręce, by zedrzeć chustkę, napojoną chloroformem. Niestety opuściły go siły, a z ust wydobywały się niezrozumiałe słowa. Nagle upadł na podłogę.

Lister i jego córka rzucili się na niego, zamieniwszy porozumiewawcze spojrzenie. Lola wylała jeszcze kilka kropli chloroformu na chusteczkę, leżącą na twarzy hrabiego.

W minutę później Zygmunt Sokolski leżał bezwładnie wyciągnięty na dywanie, a Lister zawołał stłumionym głosem:

„Stało się!“

„Nie rusza się!“ rzekł po chwili. „Stracił czucie i dopiero za kilka godzin odzyska przytomność! — Teraz musimy go usunąć z hotelu!“

Lister - Satanelli skierował te słowa do swojej córki. Przestraszył się jednak na widok zmienionej do niepoznania twarzy Loli.

Oblicze Loli przybrało jakiś nienaturalny wyraz; jej oczy były podobne do wzroku obłąkanych.

„Lolu, — Lolu! Co ci się stało?“ szepnął Lister i położył jej rękę na ramieniu.

Młoda kobieta stała jak skamieniała. Patrzyła bezprzytomnie na leżącego u jej stóp mężczyznę. Lister powtórzył swoje pytanie, — a Lola wzdrygnęła się, jakby ją zbudzono z twardego snu.

„Ojcze, ojcze!“ zawołała, chwytając Listera za ręce. — „Ojcze, powiedz mi, co zrobimy z tym biednym człowiekiem?“

Lister - Satanelli milczał, więc Lola zawołała drżącym głosem:

„Chcesz go zabić, zamordować! Ojcze, nie czyń tego! Nie przeżyję śmierci tego człowieka! Niegdyś nazywał mnie swojem dzieckiem; ja zaś oszukałam go podstępnie. Ojcze, ten mężczyzna nie zasłużył na to, by poniósł śmierć z naszych rąk!“

„Chciałbym mu chętnie darować życie!“ odparł Lister stłumionym głosem, „lecz cóż mam zrobić, by nie narazić twojego szczęścia na nowe niebezpieczeństwo?“

„Usuńmy go i zostawmy przy życiu!“

„To będzie trudno, lecz pomyślimy! Tymczasem pomóż mi uprzątnąć ciało! Tam w rogu stoi duży kufer hrabiego. Włożymy do niego ciało Sokolskiego; Lolu, pomóż mi!“

Satanelli zbliżył się do kufra i wysunął go na środek salonu.

W kieszeni Zygmunta znalazł kluczyk do kufra. Otworzył go i przekonał się, że kufer był prawie próżny.

Satanelli i jego córka włożyli ostrożnie ciało oszołomionego do kufra.

Satanelli przekonał się jeszcze raz, że hrabia znajduje się przy życiu. Badał jego puls i przyłożył ucho do piersi biednej ofiary.

Po chwili spuścił wieko i przymknął kufer.

„Żegnaj, moja córko!“ rzekł czule do Loli. „Wiesz, co masz robić! Idź do pokoju Kazimierza. Teraz należy on do ciebie i nikt nie zdoła ci go wydrzeć!“

„Lecz cóż mam powiedzieć Kazimierzowi, gdy zapyta, co się stało z hrabią Sokolskim?“ odparła Lola drżącym głosem.

„Powiedz mu, że wyszedł z hotelu z nieznajomym panem. Albo jeszcze lepiej, — nie odpowiadaj wcale Kazimierzowi na takie pytanie. Powiedz, że nie wiesz, dokąd się udał hrabia Zygmunt!“

„W takim razie poczyni za nim poszukiwania. Nie przypuści bowiem, że hrabia Zygmunt Sokolski byłby w stanie oddalić się z hotelu bez pożegnania!“

„Dobrze! Niech go szuka! Tymczasem będę za dziesiątą górą. A teraz, moja córko, pocałuj mnie na pożegnanie. Nie zapomnij o mnie i pamiętaj zawsze o twoim ojcu. — Jakto, nie pocałujesz ojca? Co to znaczy, moja Lolu?“

„O ojcze, chętniebym cię pocałowała, lecz musisz mi dać słowo, że nie zamordujesz hrabiego Zygmunta Sokolskiego! To jest moja ostatnia prośba!“

„Spełniłem twoją pierwszą prośbę,“ odparł Satanelli, „i zadowolnię także to życzenie! Przyrzekam ci, że hrabia Zygmunt Sokolski nie zginie nagłą śmiercią! Muszę go tylko odosobnić! Postaram się, by nie zepsuł twojego szczęścia!“

„Dziękuję ci ojcze!“ zawołała Lola.

Pocałowała w usta detektywa i pożegnała się z nim ze łzami w oczach.

Po chwili otworzyła drzwi, prowadzące do pokoju Kazimierza.

Satanelli patrzył na nią wzrokiem pełnym ojcowskiej miłości. Następnie wybiegł za nią.

„Proszę o rachunek!“ rzekł do dyrektora hotelu. — „Wyjeżdżam z Berlina. Równocześnie zapłacę także rachunek hrabiego Zygmunta Sokolskiego, który czeka na mnie na dworcu. — Polecił mi, bym jego kufer zawiózł na kolej. Proszę więc o rachunek, a portjer niech zawoła dorożkę!“

Dyrektor udał się do swojego biura. Wystawił dwa rachunki, które zapłacił Satanelli.

Detektyw Lister wyszedł następnie na ulicę i zamówił dorożkę.

„Czeka pan na kufer?“ zapytał portjer hotelowy.

„Tak jest! Oto przynoszą go lokaje!“ Dwaj służący nieśli duży skórzany kufer. Lecz w chwili, kiedy go chcieli na koźle, nagle wydobył się z kufra lekki jęk.

Lokaje stanęli osłupieni; lecz Stanelli zawołał w rozkazującym tonie:

„No, naco czekacie? — Prędko, nie mam czasu! Chcecie, bym się spóźnił na pociąg?“

„Niech pan wybaczy“, odparł jeden ze służących. „Zdawało mi się jednak, że z kufra doleciał mnie ludzki głos!“

Satanelli wybuchnął sztucznym śmiechem.

„Ludzki głos?“ zawołał. „Człowieku, zwarjowałeś? Naprzód, dawaj kufer na kozioł!“

W tej chwili zbliżył się dyrektor, chcąc pożegnać odjeżdżającego gościa. Lokaje chcieli położyć kufer na koźle.

Lecz, — teraz, — posłyszeli znowu lekki jęk, — — drżący głos.

Lokaje złożyli kufer na ziemi pod szklanym dachem, zawieszonym nad wejściem do hotelu.

„Nie słyszał pan?“ zawołał służący, zwracając się do dyrektora. „W kufrze odezwał się najwyraźniej ludzki głos.“

„Rzeczywiście!“ wybełkotał przestraszony dyrektor hotelu. „Mnie się także zdawało, jakbym słyszał ludzki jęk...“

„To coś podejrzanego!“ szepnął służący a drugi dodał cicho:

„Trzeba zawołać policję!“

„Jeżeli jesteście tak ciekawi, to muszę zaspokoić waszą ciekawość!“ zawołał Satanelli. „Kupiłem fonograf, który naśladuje głosy różnych śpiewaków! Kto wie, co się stało aparatowi. Może się rozluźniła jaka śrubka i dlatego aparat mówi! Nie zważajcie na to. Dalej, połóżcie kufer na koźle!“

„Fonograf?“ zaśmiał się dyrektor. — „Ach, teraz rozumiem! Jak się to człowiek może pomylić! — Niech pan raczy darować zabobonnym ludziom!“

„Dobrze, dobrze! Spieszy mi się na kolej! Żegnaj pan!“

Lokaje położyli kufer na koźle. Satanelli wskoczył do powozu i zawołał głośno:

„Na dworzec Anhalcki!“

Dorożkarz zaciął konie batem. Powóz ruszył, a Satanelli zobaczył jeszcze głęboki pokłon dyrektora hotelu.



W Anglji odbył się ostatnio „Dzień propagandy lotnictwa”. W związku z tem urządzono na podlondyńskiem lotnisku wspaniałą rewję samolotów, z której podajemy bardzo efektowne zdjęcie.

Obydwaj lokaje wstrząsali niedowierzająco głowami. Ten fonograf wydawał im się zanadto podejrzany. —

Zaledwie powóz skręcił w boczną ulicę, gdy Satanelli wychylił się z powozu i kazał zatrzymać konie.

„Dorożkarzu, na który dworzec macie mnie zawieźć?“

„Na dworzec Anhalcki!“

„Ach, pomyliłem się! Chciałem powiedzieć na dworzec północny! Dalej, spieszcie się, inaczej spóźnimy się na kolej!“

„Niema to jak bogatym ludziom!“ szepnął dorożkarz, skręcając na prawo. „Czasem już przedpołudniem zaleją sobie pałę, tak, że potem nie mogą rozróżnić jednego dworca od drugiego!“

Lecz w tej chwili wzdrygnął się woźnica i spoglądał niespokojnie na wieko kufra.

Zdawało mu się, że z kufra dolatywał niewyraźny głos, wołający o pomoc.

„Głupstwo!“ rzekł do siebie. „To fonograf! Przeklęty aparat! Czego ludzie już nie wynaleźli! Teraz można nawet słyszeć głos nieobecnych osób!“

Powóz zdążał tymczasem na dworzec północny.

## CLIII.

### Dziewczyna z baletu

Z eleganckiego hotelu „Kaiserhof“, położonego w pierwszorzędnej dzielnicy berlińskiej, wprowadzamy naszych czytelników do przedmieścia we wschodniej części rezydencji, gdzie się wznoszą głównie mieszkania pospólstwa, w których panuje wszechwładnie nędza i ubóstwo.

Jak w każdem dużem mieście, tak i w Berlinie stykają się bogaci z nędzarzami. Pierwsi mieszkają w zachodnich dzielnicach, a ubodzy, żyjący z ciężkiej pracy rąk, niewystarczającej często na najskromniejsze potrzeby, zaludniają przeważnie wschodnią połać rezydencji.

Lecz nędza łączy się z przekleństwem, że obok niej gnieździ się zawsze występek i zbrodnia.

Z nędzą łączy się bezprawnie. Obok poczciwych ludzi, którzy w pocie czoła walczą z życiem, znajdują się niestet[y] różne podejrzane egzystencje.

W Berlinie istnieje mnóstwo ulic, któ[re] są znane policji jako przytułki dl[a] różnych zbrodniarzy. —

W wielu kamienicach mieszkają, nie jako pod okiem władzy, różne szumo[winy] ludzkie, do których można za[s]tosować słowa z pisma świętego:

„Nie sieją, nie orzą, a Ojciec niebie[ski] żywi ich!“

Tam, gdzie się zaczynają Frankfur[c]kie Aleje, w bocznej uliczce, wznos[i] się duży dom narożny, który zewnątr[z] wywiera wcale niezłe wrażenie. — Lec[z] kto wejdzie do środka na ciemne scho[dy] i zobaczy niezliczoną ilość drzwi które wychodzą na korytarze, ten prze[ko]na się wkrótce, że ten dom należy w całem tego słowa znaczeniu do naj[gorszych] i najbardziej podejrzanych budowli.

Wszystkie te rodziny wiodą ubogie życie; większa część walczy ustawicz[nie] z głodem. Tylko nieliczne wyjątk[i] żyją względnie dobrze i którym tyl[ko] na pozór źle się powodzi, — rodzi[ny], które nawet cieszą się opieką publi[cznej] dobroczynności, lecz w rzeczywistości nie potrzebują wcale tego ro[dzaju] wsparcia.

Do tak zwanych bezwstydnych ubo[gich], których trzeba odróżnić od praw[dziwych] nędzarzy, należała także wdowa Majerhof, mieszkająca na trzeciem piętrze.

Wdowa Majerhof miała córkę, któr[ą] nazywano w sąsiedztwie piękną Almą albo dziewczyną z baletu.

Kamienica, stojąca na rogu Frankfurckich Aleji, mieści przeszło 160 ro[dzin], zamieszkałych na różnych pię[trach] i skrzydłach tego domu.

Alma, wyposażona wszystkiemi wdziękami urody, z arogancką twarzą występowała w przedmiejskim teatrze jako tancerka i statystka.

W tym przybytku podkasanej Muzy dawano zwykle żywe obrazy, które miesiącami ścigały liczną publiczność. — Każdego wieczora można tam było widzieć Almę, która w roli bogini albo amazonki pokazywała tłumowi swoje wdzięki.

„Mój Boże,“ mawiała pani Majerhof, gdy się pytano o jej córkę, „biedne dziecko walczyło długo ze sobą, zanim obrało ową karjerę. Nie pozostało nic innego do czynienia! — Po śmierci mojego męża, który jako listonosz przez trzydzieści lat służył wiernie państwu, nie mogłyśmy wyżyć z tej szczupłej pensyjki. Alma dała się namówić i została artystką. O, moja córka jest białym krukiem, — stanowi jedyny wyjątek pomiędzy swojemi koleżankami i dzięki Bogu nikt nie może powiedzieć coś złego o mojej córce. Jest cnotliwą, chociaż jej nie brak pokuszeń i propozycyj. Niestety — mówię wyraźnie niestety — ma za ładną twarzyczkę.“.

Niektórzy wierzyli pani Majerhof na słowo. Lecz złośliwi ludzie — a gdzież ich nie brak — wzruszali tylko ramionami i szeptali sobie na uszy różne dwuznaczne historje o pięknej, jasnowłosej Almie.

Jeden widział ją z oficerem, — drugi z eleganckim mężczyzną, — a trzeci ze subjektem, z którym szła pod ramię. Mieszkańcy domu, którzy zwykle późno wracali z miasta, opowiadali, że spotkali ją kilka razy o czwartej godzinie rano przy bramie.

Wiadomo, że do czwartej godziny nie trwa żadne przedstawienie.

Pani Majerhof widocznie nie powodziło się zbyt świetnie, gdyż w ostatnich czasach wynajęła nawet mały gabinet.

Od czterech tygodni mieszkała w tym gabinecie młoda dziewczyna, z którą jeszcze nikt w domu nie zamienił ani jednego słowa.

Kilka osób spotkało ją na schodach. Wszyscy zachwycali się jej nadzwyczajną pięknością.

Nasi Szanowni Czytelnicy dowiedzą się zaraz, kto mieszkał u pani Majerhof, jeżeli udadzą się z nami do mieszkania wdowy i jej cnotliwej córki.

Mieszkanie znajdowało się na trzeciem piętrze. — Okna wychodziły na posępny i brudny podwórzec.

Z korytarza wchodziło się do tak zwanego dużego pokoju, w którym mieszkała wdowa z córką.

Ten pokój wskazywał ślady pewnej zamożności, którą pani Majerhof uratowała z lepszych czasów. Stała tam sofa, przed nią okrągły stół, na którym spożywano jedzenie, komoda ze staroświeckiem zegarem, a obok niego duża książka do modlenia.

Między oknami stało biurko, przy którem jej zmarły mąż załatwiał swoją piśmienną pracę. Wreszcie dwa łóżka uzupełniały to skromne umeblowanie.

Zbliżał się wieczór. Zwieszająca się z sufitu lampa oświecała duży pokój pani Majerhof. Wdowa kładła właśnie na stół obrus o podejrzanej czystości i zimne zakąski, gdyż Alma jadła zwykle w domu, zanim wychodziła do teatru.

Panna Alma zeszywała czerwone trykoty.

Przed chwilą powiedziała swojej matce, że w ostatnim miesiącu przybrała znowu na tuszy.



Max Schmeling, słynny niemiecki bokser pokonał na ringu bokserskim w New Yorku murzyna Louisa. Na zdjęciu widzimy sędziego, który obw. tłumom wynik walki, a obok (z prawej) zwycięzcę — Schmelinga.

„No, a cóż tam nowego?“ zapytała pani Majerhorf, siadając naprzeciwko córki z głębokiem westchnieniem.

Wdowa wzdychała ustawicznie. Tak się już do tego przyzwyczaiła, że nawet w kółku rodzinnem nie mogła się powstrzymać od westchnień.

„Jak stoi sprawa z tym hrabią? Nie da się nic złowić?“

„Ach daj mi spokój,“ odparła Alma. „Tym razem czekał na mnie przy wyjściu z teatru; sądziłam początkowo, że mi się uda go naciągnąć. W końcu pokazało się jednak, że jego dobra leżą na księżycu“.

„Dobrze zrobiłaś, żeś go odtrąciła od siebie,“ rzekła pni Mejerhof, „moje dziecko, musisz się oglądać za czemś poważniejszem. — Masz dwadzieścia jeden lat i byłby czas, żebyś sobie wyszukała męża. Otwarcie mówiąc, to ten cały teatr nic nie wart! Trzydzieści marek gaży na miesiąc, to za wiele do śmierci, a za mało do życia!“

„Co robić?“ zawołała panna Alma, „przecież nie pójdę do sklepu i nie będę się nudzić całymi dniami! Nie, do tego mię nie namówisz, moja stara! Może mam iść jako modelka, jak ta z sąsiedztwa? Nie upadłam jeszcze tak nisko!“

Alma, wymawiając te słowa, wskazała ręką na przeciwległe drzwi.

„No, no“ szepnęła wdowa, „ona nie jest znowu tak głupią, jak wygląda! Udaje cnotliwą i płacze ciągle! Następnie — pozwala się malować i to jako obłąkana! Widzisz, tego nie rozumiemy! To już wyższe wyrafinowanie, — przez to wzbudziła litość! — Taki obraz przyjdzie na wystawę, panowie oglądają, — a ten i ów zapatrzy się wreszcie i zapyta malarza o modelkę!“

„Ach tak!“ rzekła Alma, wstrząsając w zamyśleniu jasną główką, „widzisz moja matko, nie zauważyłam tego z tej strony! — Rzeczywiście, to sprytnie obmyślanie! Można zrobić wcale dobrą partję! Powiedz mi, matko, jak sądzisz, czy ta dziewczyna jest tak porządna, za jaką chce uchodzić?“

„Doprawdy sama nie wiem, co myśleć!“ odparła pani Majerhof, wzruszając ramionami. Gdy przyszła do nas przed miesiącem i wynajęła gabinet, powiedziała, że przyjechała do Berlina za jednym hrabią, który się z nią zaręczył! Wymieniła nawet jego nazwisko! — Czekaj, — popsuła mi się pamięć, — zapominam. Jeżeli się nie mylę, to rzekła „Zamski“, — tak to nazwisko tego hrabiego. Latała przez ośm dni, szukała wszędzie swojego hrabiego i wreszcie go nie znalazła. Jednego dnia oświadczyła mi, że przyjęła robotę w magazynie. Od tego czasu siedzi ciągle w gabinecie i haftuje. Jeżeli tak dalej będzie pracować, to jeszcze gotowa stracić swój wzrok. Tylko przez ośm dni nie pracowała. Poznała bowiem jakiegoś malarza, który obiecał ją nama lować“

„Ten malarz wydaje mi się podejrzanym“, odparła jasnowłosa Alma. „Jeżeli dziewczyna odwiedza malarza w atelier, to każdy przyzna, że nie będą się przecież modlić.“

„Nie Almo. Tą razą jesteś w błędzie. Malarz jest podobny do straszydła na wróble. Był raz tutaj i powiedział mi, że następnego dnia nie ma czasu na posiedzenie. Widziałem go zupełnie dokładnie. Żałowałabym ją rzeczywiście, gdyby miała z nim stosunek. Niskiego wzrostu, z garbem na plecach robi wprost odrażające wrażenie. W pierwszej chwili myślałem, że to jakiś potwór zakradł się do mojego mieszkania. Droga Almo, mylisz się!“

„Niech i tak będzie,“ odparła obojętnie Alma, „teraz czas na kolację; za kwadrans muszę iść do teatru. Ach, mam już tego po uszy. Dyrektor ciągle niezadowolony. Co mamy dzisiaj na kolację?“

„Same przysmaki,“ rzekła Majerhof, — „kupiłam gęsinę w restauracji. Naturalnie powiedziałam właścicielowi, że to dla tego starego poborcy, który mie-

szka na pierwszem piętrze. Nikt nie potrzebuje wiedzieć, co jemy i co się u nas dzieje. Trzeba być ostrożnym, jeżeli się żyje z publicznej dobroczynności! Siadaj zjemy prędko gęsinę; z naszą sąsiadką zjemy potem kawałek polskiej kiszki. — Przecież nie dam jej gęsiny, — płaci za mało za całe utrzymanie.

Alma rzuciła na bok trykoty. Wdowa wyszła do kuchni i wróciła po chwili z dużym półmiskiem, na którym leżała świeża gęsina, obok włoskiej kapusty.

W pokoju rozeszła się przyjemna woń! — Pani Majerhof wyjęła ze szafy butelkę wina i nalała dwie lampki.

„Wyborna gęsina!“ rzekła Alma. „Przepadałam wprost za taką kolacją.“

„Będziemy codziennie jeść gęsinę, jeżeli sobie wyszukasz pożądnego męża,“ odparła troskliwa matka.

Lecz w tej samej chwili o mało się nie udławiła, gdyż we dwiach, prowadzących na korytarz, pokazał się wysoki, porządnie ubrany mężczyzna.

„Dobry wieczór,“ przemówił nieprzyjemnym głosem „mieszka tutaj pani Majerhof?“

„Tak jest!“ zawołała matka Almy, zasłaniając swoją osobą zastawiony stół. „Czem mogę służyć?“

„Jestem radca opiekuńczy Kolbę,“ odparł nieznajomy, „przychodzę w sprawie podania, które pani posłałaś do towarzystwa dobroczynności z prośbą o zasiłek na drzewo i węgle.“

Jasnowłosej Almie wypadła z ręki duża kość, — starała się naprożno zakryć stół serwetą. Lecz wzrok radcy opiekuńczego padł już na stół i zobaczył całą zastawę.

„Tutaj tak wybornie pachnie! Ach, gęsina, jarzyna włoska, — paradna kolacyjka; jakżeż to pogodzić z pani rzekomo nędznem położeniem?“ zapytał radca opiekuńczy. „Mojem zdaniem, jeżeli pani ma pieniądze na gęsinę i jarzynę, to i na węgle znajdą się także pieniądze.“

„Ach, mój drogi Boże!“ zawołała wdowa, a z jej piersi wydobyło się głębokie westchnienie; „doprawdy istny przypadek, że pan radca zastał nas przy takiej dobrej wieczerzy. Zwykle, — mój Boże — jemy kawałek suchego chleba i kawałek sera. Lecz właśnie dzisiaj są urodziny mojej córki. — Wstań, Almo, i pozdrów tego pana, — jeden dobry przyjaciel przysłał mojej córce gęsinę.“

„Tak, tak? — Więc córka ma przyjaciela! — Zdaje mi się, że pani powodzi się wcale dobrze! W Berlinie mamy za dużo nędzarzy, którzy rzeczywiście potrzebują wsparcia, dlatego podanie pani — “

Nagle zamarły słowa na ustach radcy opiekuńczego. Jego wzrok skierował się na nowe zjawisko, które się pokazało we dzwiach.

Była to młoda dziewczyna, przedziwnie piękna.

Blade oblicze było otoczone ciemnymi lokami. Jej oczy płonęły dziwnym ogniem, jak morskie perły, gdy nurek wydobędzie je na powierzchnię merza.



W Wiedniu odbył się niedawno ślub jednego z szefów obrony przeciw-lotniczej. Po wyjściu z kościoła koledzy zgotowali młodej parze niezwykłą niespodziankę, tworząc przed kościołem szpaler w maskach gazowych.

„Czy to także córka pani?“ zapytał radca opiekuńczy, wskazując rękę na młodą dziewczynę, która go uprzejmie pozdrowiła.

„Moja córka?“ zawołała wdowa, “mój Boże siedmioro pochowałam. Tylko ta pozostała przy życiu jako troska i osłoda moich ostatnich dni. Lecz ta dama nie należy do naszej rodziny. Wynajęła obok mały gabinet. Jak pan widzi żyjemy zupełnie skromnie; jestem zmuszona odnajmywać ów gabinet za siedem marek miesięcznie! Jestem biedną wdową! Jeżeli raz w rok pokażę się na stole gęsina z włoską jarzyną, to przecież to nie dowód, że nie jesteśmy porządnemi kobietami! — Nieprawda, Almo, zawsze mówię, że cnota zdobi człowieka! Jeżeli pan radca nie da mi zasiłku na węgle i drzewo, w takim razie nie pozostanie mi nic innego, — jak — “

„Dosyć tego kochana pani!“ zawołał radca opiekuńczy, „mam już gotowe zdanie. — Chciałbym tylko pomówić w cztery oczy z tą panną, jeżeli naturalnie zgodzi się na moją prośbę!“

„Ze mną?“ zapytała młoda dziewczyna spoglądając podejrzliwie na nieznajomego.

Radca przystąpił tymczasem do dziewczyny, położył jej rękę na ramieniu i szepnął cicho:

„Jestem przyjacielem pani! Jestem starym człowiekiem i z mojej strony nie grozi pani żadne niebezpieczeństwo. Pragnę pomówić z panią bez świadków.

Po chwili młoda dziewczyna i radca opiekuńczy znaleźli się w małym gabinecie. Równocześnie zerwała się pani Majerhof i zawołała opryskliwie:

„Widzisz, tak bywa, gdy się komu zachce gęsiny. — Straciliśmy niepotrzebnie małą sumę. Dlatego mówię zawsze w nocy wszystkie koty są szare i wtedy możemy jeść, co nam się podoba.!“

Mój Boże,“ odparła spokojnie Alma, „będzie można pomówić jeszcze z tym starym radcą opiekuńczym! — Sądzisz, że ot tak dla zniechęcenia zamknął się w gabinecie z tą dziewczyną?“

Radca opiekuńczy zamknął rzeczywiście drzwi.

Rzucił dookoła badawczym wzrokiem po pokoju, w którym mieszkała młoda dziewczyna. Ten mały gabinet mieścił zaledwie łóżko, stół, stołek i komodę, lecz mimo skromnego umeblowania odznaczał się nadzwyczajną czystością. W całym pokoju panował wzorowy porządek.

Na małym stoliku koło okna leżała włóczkowa robota, mówiąca wyraźnie o nadzwyczajnej pilności młodej dziewczyny. Stary radca opiekuńczy spoglądał na nią z zachwytem.

„Siadajmy drogie dziecko!“ rzekł nieznajomy, wskazując rękę na krzesełko „Proszę mi odpowiedzieć na kilka pytań. Powtarzam jeszcze raz, że jestem przyjacielem pani. Jak się nazywasz moje dziecko?“

„Anielcia Dubois!“ odparła zapytana dziewczyna.

„Dubois? Francuskie nazwisko W Berlinie istnieje duża kolonia Francuzów! Skąd pani pochodzi?“ badał radca opiekuńczy.

„Urodziłam się w Polsce; później byłam w Paryżu, gdzie się zaopiekowała mną rodzina Dubois! Od tego czasu noszę to nazwisko.“

„Jak długo jest pani w Berlinie?“ zapytał nieznajomy.

„Przeszło miesiąc!“

„Była pani przedtem w Paryżu?“

„Nie przyjechałam prosto z Ameryki!“

„Do licha, z Ameryki! Objechała pani przynajmniej różne kraje. Co pani robiła w Ameryce?“

„Pojechałam tam za chlebem, lecz niestety nie znalazłam nic odpowiedniego. Z pomocą jednego związku udało mi się powrócić do Europy.“

„W Berlinie szuka więc pani jakiegoś zajęcia?“ badał radca opiekuńczy.

„Początkowo miałem ten zamiar,“ odparła Anielcia, lecz właściwie przybyłam do Berlina z innego powodu. Pan nie radco, szukam jednego pana, który

przedtem był także w Ameryce, a o którym wiem napewno, że wyjechał do Niemiec. Prawdopodobnie mieszka w Berlinie. Lecz dotychczas nie spotkałam go nigdzie. Szukam hrabiego Kazimierza Zamskiego.“

„Hrabia Kazimierz Zamski? Znane mi nazwisko. Jeżeli się nie mylę, to hrabia posiada zamek nad Wartą. Znajdziemy go łatwo, jeżeli naturalnie mieszka w Berlinie. Człowiek nie jest przecież igłą, by zginął bez śladu! Jest pani krewną hrabiego Kazimierza Zamskiego?“

„Jestem z nim zaręczona! Przed panem stoi narzeczona hrabiego Kazimierza Zamskiego!“

Radca opiekuńczy osłupiał. Przez głowę przebiegła mu podejrzliwa myśl. Lecz jedno spojrzenie na szlachetne oblicze tej dziewczyny, uspokoiło go znowu. Tak, wierzył jej, — musiał wierzyć chociaż ją widział w nędznem mieszkaniu. Bez wątpienia, była narzeczoną hrabiego Kazimierza Zamskiego.

„Skutkiem nieodnalezienia hrabiego,“ mówił radca opiekuńczy, „postarała się pani o zajęcie?“

Kolbe, wymawiając te słowa, rzucił okiem na stolik i wskazał ręką na niedokończoną robotę.

„To właśnie pani zajęcie, nieprawda?“

„Tak jest,“ odparła Anielcia, „po wielu trudach udało mi się znaleść robotę w jednym magazynie. Niestety właściciel płaci bardzo licho za hafty! Mój zarobek wystarcza mi zaledwie na chleb, nie mówiąc już zupełnie o innych potrzebach.“

„Widzę, że pani żyje nadzwyczaj skromnie! To mieszkanie nie wygląda wcale na pałac.“

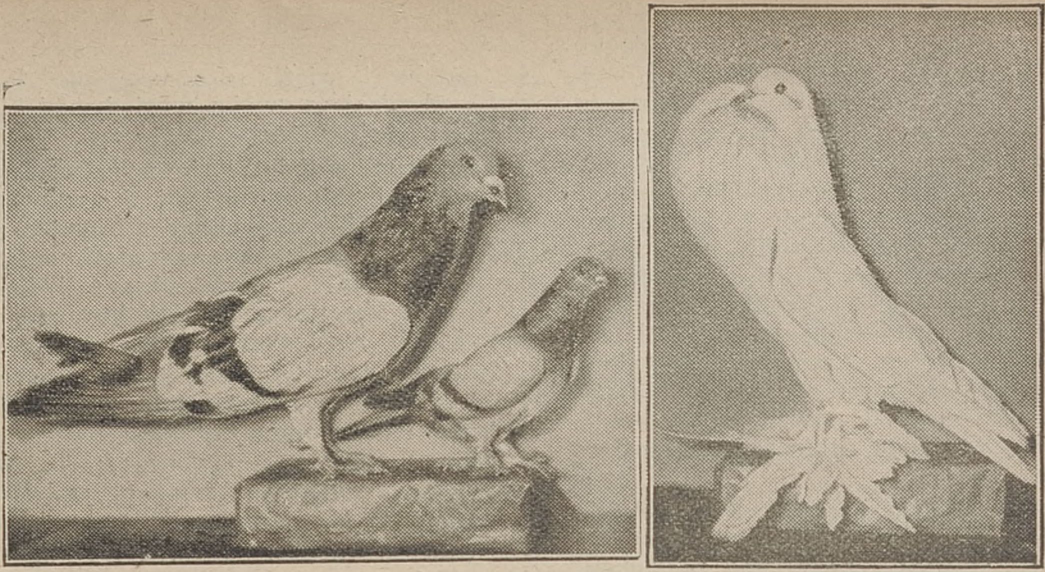
„Och, jestem zupełnie zadowolona z mojego gabinetu,“ odparła Lola, „lecz tylko z mieszkania.“

„Aha, teraz zbliżamy się do właściwego punktu!“ szepnął radca opiekuńczy. „Proszę mi powiedzieć otwarcie czy jest pani zadowolona ze swojej gospodyni! — Czy dobrze?“

„Panie radco, nie chcę nikogo oskarżać; jeżeli mię pan zapytał o to, celem dowiedzenia się szczegółów o pani Majerhof i jej córce, w takim razie oświadczam panu, że szkoda było trudu. Z najlepszą chęcią nie mogę panu nic powiedzieć, nie troszczę się bowiem o moje sąsiadki. Żyję cicho w moim małym gabinecie, zdala od światowego zgiełku Prowadzę wprost pustelniczy żywot.“

„Nie spodziewałem się tego!“ zawołał radca opiekuńczy. „Proszę mi jednak wierzyć, że nie miałem wcale zamiaru badać panią o stosunki wdowy Majerhof. Chciałem wprawda pomówić z panią o niej, lecz tylko dlatego, by cię ostrzec przed tą kobietą! Jak pani wiadomo, jestem radcą opiekuńczym z tej dzielnicy. Ze względu na moje obowiązki, muszę się zajmować ludźmi, którzy żyją w ostatniej nędzy. Nasze towarzystwo dowiaduje się przez zaufane osoby o rodzinach potrzebujących wsparcia. Przypadkowo dowiedzieliśmy się, że u wdowy Majerhof znajduje się młoda dziewczyna, która nie wie u jakich ludzi znalazła mieszkanie.“

„Boże! Czyżby pani Majerhof była złą kobietą?“ zapytała młoda dziewczyna.



Na jednej z wystaw hodowli gołębi w Holandji znalazły się dwa nadzwyczaj wspaniałe okazy gołębi których piękno możemy ocenić na podstawie powyższego zdjęcia.

„Moja panienko, nie mówmy o tem!“ odparł radca opiekuńczy, „w każdym razie muszę powiedzieć pani, że córka pani Majerhof prowadzi podejrzane życie. Dlatego radziłbym pani wyprowadzić się przy sposobności z tego mieszkania. Jeżeli jednak pani chce tu zostać, to proszę uważać na siebie!“

„Dziękuję panu radcy za ostrzeżenie,“ zawołała Anielcia: „przy pierwszej lepszej sposobności wyprowadzę się z tego mieszkania. Tymczasowo muszę jednak zaczekać.“

„Może można pani dopomóc,“ odparł radca opiekuńczy, podnosząc się ze stołka, „nie przyjęłaby pani jakiego miejsca?“

„Chętnie, panie radco!“ zapewniła Anielcia, lecz dotychczas nie znalazłam nic odpowiedniego. Posiadam pewne zdolności. Mówię po francusku i po angielsku, gram na fortepianie i znam się wybornie na domowem gospodarstwie.“

„Aż nadto,“ zawołał Kolbe. „Zapiszę sobie adres pani. Wkrótce dam pani znać o sobie! Tymczasem życzę pani wszystkiego dobrego, — i jak już powiedziałem, — proszę uważać i mieć się na baczności przed wdową Majerhof i jej córką! Te kobiety są wyrzutkami piekła! Nie chcą uczciwie pracować i żyją kosztem łatwowiernych ludzi.“

Radca opiekuńczy podał rękę Anielci i wyszedł z gabinetu.

Pani Majerhof próbowała zawiązać z nim rozmowę. Kolbe zbył ją jednak kilkoma słowami i po chwili znalazł się na ulicy.

## CLIV.

### Nowy dom warjatów

Na samym końcu Londynu, tuż nad brzegiem brudnej Tamizy, wznosił się niedawno temu posępny trzypiętrowy budynek, który z biegiem czasu przeszedł różne koleje.

Na początku ubiegłego stulecia mieścił się w nim klasztor. Następnie kupił go przedsiębiorca i urządził tak zwany „boardin-house“, t. j. dom, w którym kawalerowie i rodziny mieli mieszkanie i całe utrzymanie.

Przedsiębiorca liczył na to, że piękna okolica zwabi licznych gości. Niestety pomylił się grubo w swoim rachunku ponieważ dom był za daleko położony od środka miasta. Bezludna okolica i podejrzane sąsiedztwo domów, które używały nienajlepszej opinji, odstraszały wszystkich. Przedsiębiorca stracił swój cały majątek i jednego dnia znaleziono go nieżywego w piwnicy. Nieszczęśliwy spekulant powiesił się z rozpaczy.

Odtąd stał dom długo pusto. Później kupił go jakiś rzeźnik i odnajmywał pojedyncze pokoje ubogim rodzinom.

W domu panowała jednak nędza i nieporządek. Policja robiła często rewizje. Wreszcie w całej okolicy, a nawet w Londynie nazywano ten dom zamkiem szczurów, ponieważ z rzeki nadchodziły całe gromady tych ogoniastych zwierząt.

Ta plaga przybrała takie rozmiary, że wszyscy mieszkańcy byli zmuszeni się wyprowadzić.

Szczury wypędziły ludzi, a dom stał znowu długi czas pustką.

W ostatnich tygodniach ku ogólnemu zdumieniu zaszła niezwykła zmiana w zamku szczurów.

Dom został sprzedany i przeszedł w obce ręce. Nikt nie wiedział nazwiska nowego właściciela.

Ogólnie żałowano nieszczęśliwego, który stracił cały swój majątek.

Po kilku dniach zobaczono wreszcie samego nabywcę. Był to starszy mężczyzna ze złotemi okularami.

Teraz rozpoczęło się gruntowne odnawianie zaniedbałego domu.

Wytępiono szczury specjalną trucizną, którą nieznajomy przywiózł ze sobą z Ameryki. Opowiadano bowiem, że przedtem mieszkał w Ameryce.

Dotychczas nikt nie znał nazwiska obcego przybysza, ani celu, w jakim kupił ów stary opuszczony budynek. Lecz nagle jednego dnia zauważono nad bramą tablicę, na której wymalowano napis:

„Dom warjatów doktora Morizano.“

Równocześnie zrobiono odkrycie, że wszystkie okna były zaopatrzone w silne kraty.

Teraz wiedziano, na co obrócono zamek szczurów.

Wkrótce zaludnił się znowu cały budynek nieszczęśliwymi ludźmi, których przywożono zwykle w nocy w zamkniętych powozach.

Czyżby Morizano jako lekarz cieszył się tak wielką sławą? Czy szerokie koła londyńskie publiczności miały do niego takie zaufanie, że tyle rodzin zawierzało mu swoich rodzin umysłowo chorych krewnych? — Nasi czytelnicy, znający dobrze doktora Morizano, wiedzą najlepiej, w jaki sposób ten łajdak zyskiwał sobie zaufanie.

Podówczas zjawiło się we wszystkich angielskich dziennikach małe ogłoszenie, wychwalające sławę i zręczność jednego lekarza dla umysłowo chorych. Ogłoszenie kończyło się niewinnym napozór zwrotem:

„Ręczy się rodzinom za pożądany wynik."

Wiele rodzin życzyło sobie odpowiednich wyników, i dlatego zakład doktora Morizano zaroił się pacjentami. Porozumiewano się z doktorem, a pomyślny wynik nie dał na siebie długo czekać. Ten wynik był — śmiercią nieszczęśliwych.

Przebiegły lekarz prowadził cały zakład prawie bez żadnego personelu. Do pomocy miał tylko dwóch dozorców, których sprowadził z Paryża.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, dawni grabarze paryscy, stary Pifferon i jego syn, pełnili teraz w zakładzie doktora Morizano funkcje dozorców.

W Paryżu złapano ich przy okradaniu trupów; — szybką ucieczką zdołali się jednak uratować przed więzieniem.

Przybywszy do Londynu spotkali przypadkowo na ulicy asystenta doktora Morizano i pozdrowili go:

„To nasz przyjaciel Alfred Robber."

Alfred Robber zaawansował rzeczywiście na asystenta doktora Morizano i był duszą całego przedsiębiorstwa.

Doktor Morizano, jako podeszły wiewiem, nie miał odpowiedniej fizycznej siły do opieki nad warjatami. — Po drugie nie mógł się pozbyć Alfreda Robbera i dlatego zatrzymał go w swoim zakładzie.

Alfred Robber sprowadził obydwóch Pifferonów.

Grabarze i stara kucharka tworzyli cały personel.

Doktor Morizano zamierzał postawić swój zakład w Anglji na innej stopie, aniżeli w Niemczech.

Tutaj nieszczęśliwi będą pozbawieni wszelkiej opieki i dostaną tylko tyle do jedzenia, ile potrzeba, by nie umrzeć. Zamek szczurów przemienił się na dom nędzy, jakiego, nawet obfitujący w zbrodnie Londynu, jeszcze nigdy nie widział.

Przy tej sposobności musimy powiedzieć naszym czytelnikom, w jaki sposób udało się doktorowi Morizano kupić ten dom.

Gdyśmy ostatnią razą widzieli go w Ameryce, był prawie bez grosza. Alfred Robber i Morizano tarzali się z boleści po podłodze w chacie starego Billa.

Stare przysłowie: „złe zielsko nie ginie," sprawdziło się znowu.

Doktor Morizano i jego przyjaciel Alfred Robber spożyli tak dużą dawkę trucizny, że byliby napewno zginęli bez pomocy w chacie Billa, gdyby ich nie uratował dziwny przypadek.

Przez las szła mała karawana. Byli to prawdopodobnie wychodźcy, zdążający do oznaczonego celu. Jechali bowiem na wozie zaprzężonym w czwórkę mułów i wieźli różne skrzynie i paki, zdradzające swoim wyglądem niemieckie pochodzenie.

Karawana składała się z czterech mężczyzn i młodej pięknej dziewczyny; byli to widocznie chłopi z Niemiec. Jeden tylko mężczyzna zdradzał dobre wychowanie i wykształcenie, który jednak obcował ze swoimi towarzyszami, jak z równymi sobie.

Siedział obok jasnowłosej dziewczyny i trzymał ją za rękę. Prawdopodobnie był narzeczonym tej dziewczyny.

Ta mała karawana składała się rzeczywiście z Niemców. Była to Marja z ojcem i z obydwoma braćmi, w których towarzystwie znajdował się doktor Haler.

Wóz emigrantów zatrzymał się w pobliżu chaty.

Synowie poszli do pobliskiego źródła i przynieśli wodę.

Wychodźcy znajdowali się niedaleko od celu podróży. Zdążali od osady Filemona Arbuckle, gdzie ich oczekiwał brat. Mając jeszcze kilka dni drogi, uważali za konieczne zaopatrzyć się w odpowiedni zapas wody.

„Może „Może za dobre słowo i za pieniądze dostaniemy w tej chcie mleka i jajek?" rzekł wieśniak.

„Zapukam do drzwi!" zawołał doktor Haler i wyskoczył z wozu.

„Czekaj, pójdę z tobą," odparła Marja.

Doktor Haler wyciągnął z uśmiechem ręce i pomógł jej zejść z wozu.

Po chwili pukali do drzwi.

Nikt się jednak nie odzywał. Doktor Haler pukał coraz silniej do drzwi.

„Co robić?" zawołała nagle Marja, „drzwi są tylko przymknięte! Wejdźmy!"

Zaledwie przekroczyli próg domu, gdy doktor Haler pochwycił Marję za rękę i cofnął się wstecz.

„W tej chacie zaszło coś strasznego," zawołał. „Słyszysz te jęki? Widocznie ktoś kona. Zostań tu, Marjo! Wejdę sam do izby."

Lecz Marja pozostała przy boku ukochanego mężczyzny, obawiając się, by go nie spotkało w tej chacie co złego. Weszli do środka i tutaj przedstawił się ich oczom groźny widok.

Na podłodze leżało dwóch mężczyzn, wijących się w piekielnych boleściach.

Doktor rozpoznał na pierwszy rzut oka, że ci mężczyźni zjedli truciznę.

„Marjo!" zawołał, „idź prędko do wozu i przynieś z małej apteczki flaszkę z zielonym płynem. Powiedz braciom, że potrzebuję wody. Spiesz się, życie tych nieszczęśliwych wisi na włosku."

Młody lekarz pochylił się nad starszym z obydwóch. — Dziwne, te rysy były mu znane. Jednak w tej chwili nie przypominał sobie, skąd znał to oblicze. Zdawało mu się, że zobaczy tę twarz w strasznej chwili swojego życia. — Rzeczywiście doktor Haler nie mógł rozpoznać Morizano, ponieważ, jak wiadomo naszym czytelnikom, doktor był wówczas bez brody i nie miał swoich charakterystycznych szkieł na nosie.

Marja przyniosła żądaną flaszkę a bracia wodę.

Doktor Haler zabrał ze sobą do Ameryki różne lekarstwa. We flaszce było antydotum, które działało przeciw przeróżnym truciznom, a zwłaszcza przeciwko arszenikowi i strychninie.

Z pomocą Marji dał lekarz nieszczęśliwym po kilka kropli. Skutek był tak wyśmienity, że już po kwadransie zniknęły wszelkie oznaki zatrucia.

Alfred Rober usnął głęboko. Starszy leżał w półśnie i od czasu do czasu wymawiał luźne, niezrozumiałe słowa.

„Zostawimy tutaj tych nieszczęśliwych?" zapytała Marja, „to byłoby po barbarzyńsku! Pomówię z moim ojcem, mamy przecież dużo miejsca na wozie. Zawieziemy ich do osady Filemona Arbuckle."

„Przedtem musimy się przekonać," odparł sucho Haler, „czy możemy im się czemś przysłużyć, jeżeli ich zabierzemy z tej chaty. Ręczę za ich życie. Działanie trucizny zostało zniszczone. Obudziwszy się ze snu, będą zupełnie zdrowi! Lecz może uda im się rozmówić ze starszym! Może odpowie mi na moje pytanie, czy go mamy wziąć ze sobą!"

Doktor Haler pochylił się nad starcem, pogładził go po czole i przemówił cichym głosem:

„Chcecie, byśmy was zabrali ze sobą? Życzycie sobie opuścić chatę i pojechać z nami do najbliższej osady?"

Doktor Haler szepnął te słowa do ucha starca. — Jego głos wywarł dziwne wrażenie na chorym.

Podniósł głowę, otworzył oczy i spojrzał z przerażeniem na młodego doktora.

„To nieprawda," zawołał chory, „nie zamordowałem mojego syna! On żyje! — Ha, twierdzi, że go wyrzuciłem z pociągu? Jestem poczciwym człowiekiem, każde dziecko zna mnie! Nazywam się doktor Morizano!"

Haler przestraszył się, jakby nagle zobaczył upiora. Zakrył twarz ręką i drżał na całem ciele.

„Uciekaj, Maryniu! Nie dotykaj tego człowieka! — Chodź, — nie pytaj, — nie badaj, — w pole, — precz z tego domu!" zawołał doktor Haler.

Po chwili cała karawana ruszyła w drogę i zanurzyła się w milczącym borze. Przestraszona dziewczyna nie miała odwagi zapytać się Halera o powód tego nagłego pospiechu. Doktor szepnął jej:

„Później objaśnię ci wszystko, tylko nie teraz! Przed chwilą uratowałem życie temu człowiekowi, który chciał mię zamordować. Ten starzec wyrzucił mię z pociągu!"

Marja przytuliła się do narzeczonego i spoglądała smutnie na drzewa.

Wkrótce zniknęła im z oczu chata starego Billa.

W niespełna pięć godzin później przebudził się Morizano i jego towarzysz Alfred Robber. Byli uratowani — w tajemniczy sposób, którego nie mogli sobie objaśnić.

Byli przekonani, że do chaty weszli jacyś ludzie, którzy im pomogli i dali dobroczynne lekarstwo. Na stole stała flaszka, której przedtem nie było.

Szubrawcy nie dociekali długo, kto ich wyratował od śmierci. Byli zadowoleni, że wogóle żyli i że uniknęli cudem zabójczego działania trucizny.

Postanowili opuścić jak najprędzej chatę starego Billa!

W dwa tygodnie później przybyli do Nowego Jorku. Lecz amerykańska ziemia była dla nich za gorąca.

Policja poszukiwała ciągle sprawców, którzy wysadzili w powietrze kurjerski pociąg kolei Pacific.

Morizano i Alfred Robber uważali za stosowne wyjechać do Europy.

Lecz dokąd? Co tam robić?

„Jedź ze mną do Londynu!" zawołał Morizano do swojego spólnika, „będziemy żyć spokojnie i przyjemnie. Tak, w Anglji zarobimy grube pieniądze na jednej osobie."

Ta osoba, o której mówił Morizano, była nie kim innym, jak baronetem Ravingtonem, krewnym owej biednej, nieszczęśliwej Elżbiety Ravington.

Polecił doktorowi Morizano usunąć Elżbietę, by w ten sposób mógł objąć olbrzymi spadek biednej Elżbiety.

Wiemy, że baronet Ralf Ravington obiecał doktorowi dużą sumę za dowód śmierci nieszczęśliwej dziewczyny.

Ralf Ravington wiedział o tem, że doktor Morizano pojechał na „Gloire de France" za małą lady do Ameryki.

„Gloire de France" rozbiła się i zatonęła w nurtach oceanu. Od tego czasu baronet nie miał żadnej wiadomości o doktorze, ani o małej lady.

Łatwo zrozumiemy jego zdziwienie, gdy jednego dnia zobaczył u siebie doktora Morizano.

„Jak to, pan żyje?" zawołał Anglik, myślałem, że pan leży już dawno na dnie morza? — Doprawdy uważałem pana za zmarłego!"

„Tymczasem cieszę się dobrem zdrowiem!" odparł Morizano, „a niektórzy twierdzą nawet, że rzekomo zmarli dochodzą do wysokiego wieku!"

„Czy tylko pan wyratował się z „Gloire de France"? — zapytał niespokojnie baronet; „może i inni pasażerowie wyszli cało z życiem?"

„Naturalnie", odparł Morizano, „prócz mnie i kilku innych osób ocalała także lady Elżbieta Ravington."

Baronet jadł właśnie śniadanie; posłyszawszy te słowa wypuścił z ręki nóż i widelec.

„Elżbieta żyje?" zawołał, zrywając się ze stołka, „nie, to niemożebne, to nieprawda!"

„Przykro mi, panie baronecie, muszę jednak oświadczyć, że lady Ravington znajduje się w Ameryce! Jeżeli pan nie wierzy, to proszę zapytać listownie pod tym adresem. Dowie się pan, że lady mieszka w Ameryce pod przybranem nazwiskiem Elżbiety Flower. Jeżeli i to panu nie wystarczy, to proszę napisać do Chaima Stieglica, zamieszkałego w Nowym Jorku. Ten żyd potwierdzi, że Elżbieta ocaliła swe życie na promie."

Wobec tych dowodów baronet Ralf nie mógł dłużej wątpić, że nieprzyjemna wiadomość polega na prawdzie. W jego oczach znikały teraz wszystkie nadzieje.

Oswoił się z tą myślą, że obejmie olbrzymi spadek po Ravingtonie. Wniósł do sądu prośbę, by Elżbietę ogłoszono za umarłą. Jeżeli jednak lady wróci do Londynu, z czego zapłaci wówczas swoje długi, których miał więcej aniżeli włosów na głowie?

„Dlaczego nie spełniłeś mojego życzenia?" zawołał baronet drżącym głosem. „Obiecałeś mi pan usunąć z drogi Elżbietę!"

„Tak jest, panie baronecie!" odparł Morizano, „wszystko było już przygotowane, lecz zatonięcie okrętu obróciło w niwecz moje plany."

„Niech pan będzie spokojny. Dotychczas nie straciliśmy gry. Naturalnie musi się pan dać namówić do pewnych ofiar."

„Ofiary? Obecnie znajduję się w rozpaczliwem położeniu!"

„O, tak źle znowu nie jest", odparł Morizano; „ludzie uważają pana za przyszłego lorda Ravingtona i za spadkobiercę książęcej fortuny. Korzystaj pan z kredytu, zaciągaj pożyczki, chociażby na lichwiarski procent! Głupstwo. Albo pan zostanie lordem Ravingtonem i zapłaci wszystkie swoje długi, albo pan nim nie będzie, — a w takim razie wierzyciele muszą się zadowolnić nadzieją. Teraz rozchodzi się przedewszystkiem o pieniądze."

Morizano pozyskał wkrótce baroneta. Jego plan był nadzwyczaj prosty.

Zdaniem doktora Morizano Elżbieta była w Ameryce. Może się ją uda zwabić do Anglji? O pozory nie trudno. Ralf napisze, że się zrzeka wszelkich pretensji i podaje jej rękę do zgody. Elżbieta przyjedzie z pewnością do Londynu. W tem miljonowem mieście będzie można łatwo usunąć ją z drogi!

„Tak, ale w jaki sposób?" zapytał Ralf.

„Zamkniemy ją do domu warjatów!" odparł doktor Morizano.

„Do domu warjatów? Do którego? Nie odważyłbym się zaproponować czegoś podobnego londyńskiemu lekarzowi; przecież Elżbieta nie jest obłąkaną?"

Ciąg dalszy w nast. numerze.

## *Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie*

**Niedziela, dnia 5 lipca 1936 r.**

8.00 Audycja poranna 9.00 Nabożeństwo z kościoła Św. Krzyża w Warszawie 10.30 Dawna muzyka w nowej interpretacji 12.03 Poranek muzyczny 15.30 Koncert rozrywkowy 16.30 Reportaż z życia 17.00 Koncert solistów 18.00 „Człowiek, który był czwartakiem" — słuchowisko G. K. Chestertona 18.30 Podwieczorek przy mikrofonie 20.20 Odwaga pani Setliffe — skecz 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 21.30 Koncert w wykonaniu podwójnego Kwartetu Wokalnego „Pro Arte" 22.20 „Małe dzieci niechaj słodko śpią" — audycja muzyczna. 23.00 Muzyka taneczna.

**Poniedziałek, dnia 6 lipca 1936 r.**

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert południowy w wyk. zespołu Pawła Rynasa 15.45 „Koncert śpiewaków leśnych" — opow. Janiny Gillowej dla dzieci 16.00 Koncert popularny z Ciechocinka 17.00 17.00 Recital skrzypcowy Grażyny Bacewiczówny 17.30 Piosenki w wykonaniu zespołu „Te 4" 17.50 Urlop i polowanie — pogadanka 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Lissie von Rosen odśpiewa piosenki hiszpańskie 20.00 Legenda o „Sonacie księżycowej" Beethovena — reportaż 20.30 „Torpeda do Augustowa" — feljeton 21.00 Muzyka operetkowa i taneczna.

**Wtorek, dnia 7 lipca 1936 r.**

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert południowy 16.00 Pieśni i piosenki (płyty) 16.45 „Hetman Żółkiewski w Moskwie" — odczyt 17.00 Koncert w wykonaniu Ork. Symf. z Parku Wilsona w Poznaniu 17.50 „Lubczyk — prawda i legenda" — pogadanka 19.00 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 20.00 „Duch wojewody" — opera komiczna w 3-ch aktach 22.45 Muzyka taneczna.

**Środa, dnia 8 lipca 1936 r.**

6.30 Audycja poranna 12.03 Muzyka lekka z Basenu w Ciechocinku 15.45 Wesoła audycja dla dzieci 16.15 Koncert w wyk. Reprezentacyjnej Ork. Dętej K.P.W. 17.00 Koncert kameralny 17.50 Anegdoty z życia Brata Alberta 19.00 „Przygoda w Grizingu" — operetka w 1 akcie 20.00 Zespół Mario Harp Lorenzi koncertuje 20.30 „Wędrówka mikrofonu po prowincji". Wzorowe osiedle dla bezrobotnych w Naramowicach 21.05 III audycja z cyklu „Utwory Fryderyka Chopina w wykonaniu słynnych artystów" 21.35 Recital Ferdynanda Macalika (viola da gamba) 22.20 Koncert w wykonaniu Orkiestry Kameralnej 23.00 Muzyka taneczna.

**Czwartek, dnia 9 lipca 1936 r.**

6.30 Audycja poranna 12.03 Orkiestra Salonowa Eugenjusza Raabego z Poznania 16.00 Koncert Filharmonji Warszawskiej z Ciechocinka 16.45 Odczyt wojskowy 17.00 Pieśni Griega w wyk. Kazimierza Kruszewskiego 17.20 Piotr Czajkowski Koncert skrzypcowy D-Dur w wyk. Bronisława Hubermana 17.50 „Znaczenie powietrza górskiego dla zdrowia" — pogadanka 19.00 Słuchowisko pt. „Romans eskimoski według Marka Twaina 19.30 Koncert polskiej Kapeli Ludowej Feliksa Dzierżanowskiego 20.15 Utwory Maxa Regera 21.00 „Nasze pieśni" — w wyk. Kamy Norskiej 21.30 Melodje rewjowe i filmowe 22.15 „Zaloty" — audycja muzyczna 23.00 Muzyka taneczna.

**Piątek, dnia 10 lipca 1936 r.**

6.00 Audycja poranna 12.03 Zapomniane utwory słynnych kompozytorów (płyty) 16.00 „Minjatury muzyczne" 16.45 „Wewnętrzne prace P. O. W. w 1914-1915 r." — odczyt wygł. Jędrzejewicz 17.00 Recital śpiewaczy Stanisławy Korwin-Szymanowskiej 17.20 Trio salonowe Polskiego Radja 19.00 Koncert muzyki polskiej z Wawelu w Krakowie 21.05 „Mozajka muzyczna" 22.00 Muzyka taneczna.

**Sobota, dnia 11 lipca 1936 r.**

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert poranny w wyk. Orkiestry 57 pp. 14.30 Wesoły koncert 16.00 Recital skrzypcowy Marji Marco 16.30 Arje operowe w wyk. Mikołaja Warwy 16.45 „Od latarni do latarni" — reportaż z portu gdyńskiego 17.00 Koncert z Parku Wilsona w Poznaniu 17.50 „Łyk żubrówki" — reportaż z puszczy białowieskiej 19.00 Wieczór muzyki lekkiej 20.15 Audycja dla Polaków zagranicą: „Obóz harcerski" 21.00 Walce w literaturze fortepianowej 21.30 „Napaść przy ulicy des Cendres" — humoreska 22.15 Muzyka taneczna.

## CHWILA ZASTANOWIENIA

**Arytmograf**
uł. „Egaw" — Miłosław.

1, 13, 4, 5, 14. 15, 6, 11, 4, 16, 17, 18, 1, 15
19, 5, 1, 15, 4, 3, 8, 3, 20, 2, 4, 6, 3,
7, 8, 10, 4, 21, 5, 6, 22, 3, 4, 15, 17
11, 4, 2, 6, 17, 20, 18, 6

Klucz pomocniczy:

| | |
|---|---|
| 3, 4, 5, 6, 7, 4, | I. Upomnienie w języku urzędowym. |
| 7, 8, 9, 1, 5, | II. Człowiek okrutny, bez litości. |
| 10, 4, 11, 12, 4, | III. Jezioro, znajdujące się przy Kruszwicy. |

**Figielek**
uł. W. B. z Gniezna

Co to za miasta:
kolorowa baszta,
kolorowe zbocze,
a ja tu i tam kroczę?

**Żarcik**
pod. „Velga" z Głowna.

Ufa bydlątko i nawet nie wie,
Że ich witają dłużnicy w gniewie.

Rozwiązanie zadań z nr. 25 „Moich Powieści": *Kwadrat magiczny:* 1. Banat 2. Arena 3. Negus 4. Anula 5. Tasak. Bilety wizytowe. Grabarz, skrzypek, zbrodniarz.

Trafne rozwiązanie nadesłali pp.: Edmund Gawroński — Miłosław, Emilja Błońska — Świecie, W. Grabowski — Pińsk, Erazm Wołoszyński — Bukaczowce, Julja Pagotówna — Bydgoszcz, Marja W. — Bydgoszcz, Józef Rec — Starogard, Andrzej Gawaczewicz — Gdynia.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Emilji Błońskiej ze Świecia i Andrzejowi Gawaczewiczowi z Gdyni.

# H-U-M-O-R

*Wystarczy*

— Dziwi mnie to, że nie macie w ogrodzie wcale straszydła na wróble...
— O, niepotrzebne. Moja żona jest zawsze w ogrodzie.

*Po występie*

— Coś ty taki zły? Nie miałeś może powodzenia, ani oklasków?
— Owszem, ale wyglądało to zupełnie tak, jakby ktoś chodził po dywanach na gumowych podeszwach.

*Sztuka deklamacji*

W szkole dramatycznej nauczyciel poucza uczniów.
— Powinniście wkładać w każde słowo dużo uczucia, jak najwięcej uczucia. Oto w zeszłym roku mieliśmy tu jednego ucznia, który potrafił zwykłą kartę potraw czytać z takiem uczuciem, że ludzie płakali!
— To chyba dlatego — odzywa się ktoś z obecnych — że czytał ją razem z cenami.

*Pobłażliwość*

— Czy wam się nie nudzi całe życie tak stać i nic nie robić?
Żebrak: — Hm, nie uskarżam się na to wcale. Każdy zawód ma swoje przykre strony.

*Źle zrozumiał*

Przy egzaminie z historji powszechnej niezbyt dobrze przygotowany kandydat dostał pytanie: „Za którego to Władysława w Polsce wybuchły bunty kozackie?". Kandydat milczy jak zaklęty. Egzaminator powtarza pytanie, dodając:
— A więc proszę pana, bunty kozackie wybuchły za Władysława...
Kandydat błądzi nieprzytomnemi oczyma po członkach komisji egzaminacyjnej, szukając w nich ratunku.
I rzeczywiście ratunek nadszedł... Jeden z członków komisji zlitował się nad nieszczęsnym kandydatem i poza plecyma przewodniczącego podnosi rękę do góry, pokazując cztery palce. Uczynił to jednak zbyt dyskretnie, tak, że niemal cała dłoń była zakryta wielką łysiną przewodniczącego. Kandydat zauważył ruch członka komisji, spojrzał na łysinę przewodniczącego i na rękę, pomyślał chwilę i odrzekł:
— Za Władysława Łysego, proszę świetnej komisji.

*Pewny środek*

Gość: — Proszę pana, czy tylko napewno będą myszy żarły tę truciznę?
Drogista: — Zaręczam! Zdziwi się pan nawet jak chętnie się na nią rzucają. Mój syn ma obłaskawione dwie białe myszki. Te nic innego prawie nie chcą żreć.

*W czasach kryzysu*

Dozorca więzienny do zwolnionego więźnia:
— Dzisiaj opuszczasz więzienie.
Więzień: — Ach, mój Boże, cóż takiego przeskrobałem? Trzeba być bez sumienia, by w tych ciężkich czasach wyrzucać kogoś na ulicę.

*Nieświadoma dochodowość*
*(Refleksja podatnika)*

— To zupełnie niespodziewanie i szalenie przyjemnie — dopiero po przejrzeniu nakazów podatkowych dowiaduję się, jaką moc pieniędzy zarobiłem.

*Na inspekcji*

Pan minister wyjechał na inspekcję do wsi w okolicy Warszawy.
Po drodze spostrzegł jakiegoś wieśniaka, który smutny siedział przed chatą. Obok niego leżały rozrzucone w nieładzie stołki, łóżka itp.
Minister kazał zatrzymać auto i wdał się w rozmowę z chłopem:
— Tu macie człowieku, 20 złotych! Pewnie gospodarz dał wam eksmisję? Co?
Chłop schował pieniądze i drapiąc się za uchem odpowiedział:
— Nie proszę pana, eksmisji żadnej nie mam, ino żona porządki robi, to i graty na dwór wystawiła

*Różnica materjału*

Zbogacony pan Chapalicki pokazuje swoim gościom zbiory artystyczne, wśród których znajduje się też wcale piękna kopja w marmurze posągu Wenus milońskiej.
— Ach! to Wenus z Milo... — mówi ktoś z obecnych.
— Nie, proszę pana — „poprawia" go gospodarz — to z marmuru.

*Dobry matematyk*

Nauczyciel pyta w szkole:
— No, chłopcy, co się stanie, jeżeli któryś z was złamie jedno z dziesięciu przykazań?
Mały Moryc, który nie mając co robić z z czasem pozostał na lekcji religji, odzywa się:
— Zostanie dziewięć, panie profesorze!

*Wróg długich mów*

Pewien pułkownik był wrogiem długich mów. Jeśli miał powiedzieć co swoim podwładnym zawsze, czy była to pochwała, czy nagana, używał dwóch, trzech słów, w których wypowiedział wszystko, co chciał.
Zczasem otrzymał nominację na generała i musiał pożegnać się ze swoim pułkiem, lubiany przez wszystkich.
Pułk zebrał się na dziedzińcu koszarowym, a pułkownik, chcąc uczcić tak uroczystą chwilę, postanowił nieco dłużej przemówić do swoich byłych podwładnych.
Stanął więc w środku zebranych i zawołał:
— Żegnajcie... — lecz więcej nic nie mógł powiedzieć, bo cały pułk, jakby z jednych ust, wykrzyknął serdecznie:
— Żegnaj panie pułkowniku!

*Spryt dzieci*

— Daj mi tatusiu 10 groszy dla staruszka!
— Masz, synku. Cieszy mię, że masz dobre serce.
— Tak, a ten staruszek sprzedaje pyszne cukierki!

*Przyjaciółki*

— Tak Juleczko... potem powiedział mi, że jestem pierwszą i jedyną kobietą, którą kocha naprawdę.
— No widzisz, jaki on jest czarujący! I czy to nie jest miłe, że on każdej mówi to samo.

*Nabrał go*

— Pan chce oddać ten samochód do naprawy?
— Tak.
— Ile pan zapłacił za to pudło?
— Dostałem go w prezencie od przyjaciela...
Hm, — powiada mechanik — paskudnie pana nabrał ten przyjaciel.

*Radykalny*

Żona: — Śniło mi się, mężulku, że kupiłeś mi nową suknię.
Mąż: — To ubierz się w nią i nie zawracaj mi głowy.

*Powód płaczu*

— Czego tak płaczesz, mały?
— Bo ojciec przyciął sobie palce...
— Poczciwe dziecko!
— A ja się śmiałem... i dostałem w skórę.

*Cud i względy praktyczne*

— A więc, proszę państwa — powiada magik, kiedy na jego zaproszenie jeden z gości wszedł do niego na estradę — teraz sprawię, że ten pan zniknie z tej sali poprostu bez śladu.
— Ooo... przepraszam pana — odzywa się gość — zapłaciłem za miejsce 2 złote.

*Zapytanie*

Agent od ubezpieczeń, dzwoniąc wczas rano do mieszkania urzędnika:
— Dzień dobry panu! Czy też pan pomyślał o tem, że może pana dzisiaj przejechać tramwaj?

*Bliźnięta*

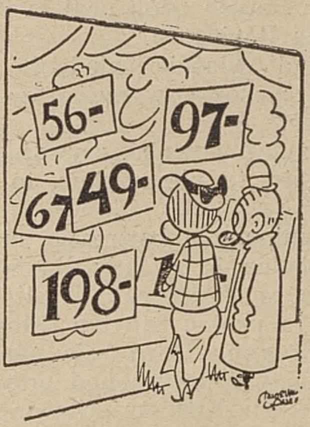
— Słyszałem, że pan ma dwóch synów bliźniaków, czy ma pan ich fotografje?
— Owszem, stoją na biurku.
— Ależ, przecież na tem zdjęciu jest tylko jeden!
— Nie szkodzi, drugi jest zupełnie taki sam.

*Niedomyślny*

Kon i Cyterszpil kłócą się.
— Słuchaj Kon, — mówi Cyterszpil — ty jesteś przecież mądry chłop, prawda?
— No tak.
— No to przecież powinieneś sam zrozumieć, że jesteś skończony idjota.

*Dwa różne spojrzenia...*
*żony i męża*






PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32
Rękopisów nie zwraca się.
Wystarczy adresować:
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie